



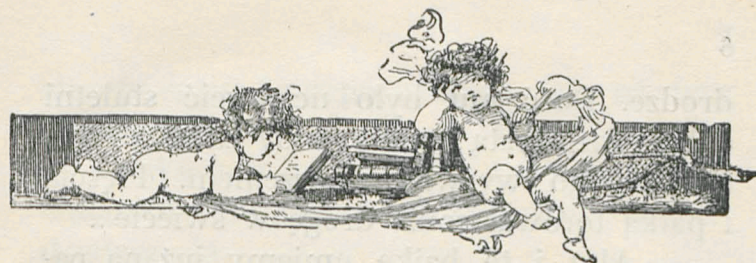
BAJECZKI

J. I. KRASZEWSKIEGO

Z ILUSTRACJAMI

E. M. ANDRIOLEGO

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE



BAJECZKA WSTĘPNA

(ZAMIAST PRZEDMOWY)

Był sobie razu pewnego olbrzym, nazwiskiem *Waligóra*. Odznaczał się on nadludzką siłą i dość mu było uderzyć pięścią w skałę, aby natychmiast w proch się rozsypała...

— Eh! znamy już tę bajeczkę, znamy! — odezwały się chórem dzieci. — Opowiedz nam inną, wujaszku!

— A więc dobrze, słuchajcie! Był sobie razu pewnego olbrzym, co zwał się *Wyrwidębem*. Siły był niesłychanej. Rozhukanego żubra chwycił za rogi i jak cielaczka kładł kornie u nóg swoich. Zamiast kosturem, podpierał się niebotyczną sosną, którą druzgotał wszystko co spotkał na

MUZEUM
JK
ROMANOWIE
M.V. / M. 2204

drodze. Dość mu było uchwycić stuletni dąb za rozłożystą koronę, niby za czuprynę, a wnet go wyrwał z korzeniem. Pięścią i pałą torował sobie drogę w świecie...

— Ależ i tę bajkę umiemy już na pamięć! — przerwały niechętnie dzieci.

Zresztą, — dorzuciła najstarsza moja siostrzeniczka Anulka, — wujaszek opowiada nam zawsze takie straszne bajki, że potem przez całą noc śnią się nam same wielkoludy i rozbójniki. Opowiedz nam coś innego, kochany wujaszku!

— Zgoda, ale o czym na przykład chciałbyście posłuchać?

— Na przykład... na przykład... namyślała się Anulka: — Ot, wie co wujaszek: na przykład, o jakim dobrym człowieku, co to nie z tego głośny, że burzył i rozbijał, ale z tego, że...

I tu urwała.

— Z czego moje dziecko?

— Kiedy nie umiem wysłować się jakby należało. — Z tego, co to słynał ów dobry królewicz, o którym niedawno opowiadał nam wujaszek, że po śmierci zmienił go czarnoksiężnik w błyszczące światło, które biegło przed podróżnymi, ilekroć zabłąkali

się w lesie i wyprowadzało ich na bity gościniec.

— Więc ty takich tylko bajeczek lubisz słuchać? — odparłem, gładząc płowe włoski dziewczęcia.

— Tylko takich wujaszku; bo na co mi wiedzieć o zbójach i wielkoludach, kiedy oni tyle złego nabroili w świecie.

— Posłuchaj zatem, Anulko!

Był sobie raz pewnego, nie żaden książę ani czarownik, ale wielki mocarz słowa, którego Bóg obdarzył niezwykłą jasnością ducha, na to, aby spełniał zadanie owego królewicza z bajki i niósł przed ludźmi pochodnię światła i nauki. Nie od razu jednak stał się on takim przewodnikiem narodu. Nim zaczął oświecać innych, pierwszej sam w ciężkim trudzie i mozole zdobywał sobie naukę; uczył się i pracował pilnie, aż gdy już dużo nagromadził skarbów mądrości, pomyślał, że czas nią podzielić się z bliźnimi. Począł więc w przeróżnych książkach i dziełach oświecać swoich rodaków, szerzyć w ich sercach miłość do tego co swojskie, co rodzinne; podnosić w ich oczach cnotę a zohydzać występki, uczyć ich, jak mają kochać się wzajem

i przelewać tę miłość na wszystkie stany, na wszystkie warstwy społeczeństwa.

Mężem tym był Kraszewski.

Przeszło 500 dzieł napisał on w ciągu długiego i pracowitego życia, spędzając dni całe z piórem w ręku, z pod którego coraz to nowe wychodziły książki, budzące podziw dla jego twórczości i cześć dla niezmordowanej pracy.

Słusznie ktoś o nim powiedział, że „gdyby literki w jego dziełach policzyć, byłoby milionów kilkanaście; gdyby pióra pozbierać, możnaby tysiącem skrzydeł do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę; a gdyby wszystkie myśli na jeden zegnać rynek, byłby zgielek, hałas na mil kilkanaście“.

— Ach! to ciekawsza historia, niż wszystkie bajki o wielkoludach! Lecz cóż się stało z tym „mocarzem słowa“, jak wujaszek nazwał pana Kraszewskiego?

— Stało się to, co z każdym z nas kiedyś stać się musi. Po długim i pracowitym życiu odszedł on do lepszego świata po nagrodę, którą Bóg dobrym i zacnym ludziom zapewniał.* Na kilka jednak lat przed

* Urodził się 1812, umarł 1887 roku.

śmiercią, pragnąc i w waszych zapisać się serduszkach, zostawił dla was, drogie dzieci, pamiątkę w tej oto książeczce, którą obecnie ku waszemu pożytkowi, wydajemy.

A teraz, nim przystąpicie do odczytania tych jego ślicznych Bajeczek, pierwaj pobożnie westchnijcie za jego duszę: niech w nagrodę za to światło, które szerzył na ziemi, świeci mu światłość wiekuista w niebie!

Władysław Bełza

śmierci, przeto i w waszym życiu
sędziście, żeżby to was, drogi, było
pamiętać w tej chwili, kiedy odcina
z waszego życia, waszą
Aż tak, nie przystaje do obywatela
tego jego sławę, Bóg, w pierw-
szym, woszcząc, że jego dusza, niech
w marcie, że to świat, które swą
na świat, świat, nie świat, świat
w niebie.

W. J. J. J.

I

BOŻE DARY

BOŻE DARY



Zgromadziwszy dzieci około siebie, opowiadał im różne ciekawe dzieje i piękne rzeczy.

BOŻE DARY

Drogię to, drogie te lata wasze, moje dzieci kochane, choć wam tak pilno pożegnać się z niemi, choć wam tak, jak każdemu z nas, serce bije na myśl zrzucenia sukienek i wyswobodzenia, aby samym pójść na szeroki Boży świat, kosztować wszystkiego i zapoznać się ze wszystkim, na co zazdrośnie z okna rodzicielskiego domu patrzycie!

Ale gdybyście wiedzieli, jak później do siwego włosa, człowiek tęskni i żałuje tych dni, które dla was tak pomalutku się wloką; jak mu drogie te łzy nawet, które wylał będąc dzieckiem, słodsze od niejednego późniejszego uśmiechu...

Dzieci! wy mnie może nie uwierzycie... ale tyle to szczęścia w życiu, co lat młodych i dni jasnych zarania!...

Z kolebki wychodzimy owiani jeszcze tchem niebieskim, pod wrażeniem snów za-

światowych i przynosim z sobą w duszy zapas na całe życie.

Pomyślcie tylko... spojrzycie w koło, jak się wam pięknie wydaje świat w blasku tego, coście z sobą z nieba przynieśli... Jak wam bije serce do wszystkiego co piękne i pocziwe, jak nie wierzycie co złe nawet!

Otóż nie spieszcie się do naszej starości i smutków; zostańcie przy waszem weselu i wierze; wasz świat jest prawdziwym światem; nasz, cieniem jego i szkieletem; my starsi, to tyleśmy tylko coś warci, o ile nam się udało ze skarbów młodości uratować cząsteczkę...

Ażebym was przekonał, że prawdę mówię, powiem wam o tem bajeczkę... Bajka, to dla niektórych zabawka, ale jak się nad nią pomyśli, na dnie jej zawsze znajdzie się ziarno nauki.

Wiecie to, że niektórym świątobliwym ludziom dano jest dalej iść niż ziemia i wędrować w te kraje, do których duszom tylko iść wolno i to wybranym. Otóż był raz taki staruszek, bardzo zacny i święty, który żył we Włoszech.

Włochy, jak wiecie, są ślicznym krajem, który oblewa morze błękitne, stroją góry

przecudne i ocieniają pomarańcze, laury i cytryny... Ów staruszek żył w jednym z miast włoskich najpiękniejszych, we Florencji, mieście kwiatów, a przepędziwszy młodość z szablą, wiek późniejszy przy uprawie roli, gdy bardzo zaniemógł, począł pragnąć spoczynku i tak sobie postanowił, że chodzić będzie, modlić się, myśleć o Bogu i nauczać maluczkich.

Wziąwszy więc kij w rękę, — wędrował sobie od wioski do wioski, powoli. A gdzie stanął, to dzieci zgromadziwszy koło siebie, rozprawiał i opowiadał im różne ciekawe dzieje i piękne rzeczy. A że to tam ciepło i jasno i pogodnie, a kraj ludny i zamieszany, chodził sobie powoli i spędzał godziny bardzo wesoło, bo mu nigdy na schronieniu, posiłku i słuchaczach nie brakło. Ale bywały na niego takie dnie, że jak się zamyślił, jak się zadumał, to cały dzień na spiecu nieruchomy przesiedział, słowa do nikogo nie mówiąc i kiedy mu to odeszło, jakby się z głębokiego snu przebudził.

Pytali go wówczas, co mu było? ale odpowiedzieć nie chciał, zbywał tylko, lub uśmiechał się i wstydził, składając na jakąś chorobę. A nie była to choroba, bo gdyby

bolał, toby potem znać to było na nim, zaś przeciwnie, weselszy i z jaśniejszą twarzą się przechadzał, i po takim zachwyceniu wstawał rzeświejszy daleko, z nierównie jaśniejszą twarzą i jakby upojony...

Nikommu jednak nie powiedział co mu było... aż go raz dzieci napadły i jak zaczęły prosić, całować, uśmiechać się a dopytywać, tak popatrzywszy wkoło żeby czasem ich kto nie podsłuchał, przemówił do nich następnie:

Jednego razu, gdy w zachwyceniu duszą został porwany na drugi świat, wcisnął się przez drzwi przymknięte do samego nieba.

Była to właśnie chwila, gdy sam Pan Bóg wyprawiał stamtąd młodziuchne duszyczki na pielgrzymkę życia, błogosławiąc je na drogę. Każdej z nich zawieszał torbeczkę z różnymi darami... ale staruszek dojrzeć nie mógł co się tam w nich znajdowało, bo choć bardzo święty, ale oczyma świeżo z ziemi przeniesionemi pochwycić ich nie mógł.

Szczęściem, stojący u drzwi jakiś święty mąż, widząc ciekawość staruszka, zbliżył się doń i zapytał: czyby chciał widzieć co się w owych torebkach znajduje?

— O! i bardzo!

— Wiedz więc — rzekł święty — że za-

dna dusza nie wychodzi stąd bez darów niebieskich, którymi szczodra dłoń sam Pan Bóg je uposaża, ale wszystkie potem powracając nazad, muszą zdać ścisły rachunek ze skarbu im powierzonego.

Spojrzyj tylko, dodał święty, przez to okienko, którem widać drogę ziemską i idące po niej duszyczki, co się to z temi niebieskimi torebkami dzieje! — Staruszek, że był bardzo ciekawy takich rzeczy, głowę wychylił przez okienko i spojrzał... Gościńcem szły tysiące duszyczek z torebkami na piersiach pełnemi... a szlak był ich pełen i mrowiło się tego niezmierne mnóstwo... Nierychło rozpatrzył się stary w tym tłumie, ale powoli okiem poszedł za jedną, potem za drugą duszą i rozpoznał jak się te dary Boże marnują. Jedni szli śpiewając i rozsyrywali je po drodze przez nieuwagę, — drudzy padali nie spojrzawszy pod nogi i rozrzucali co mieli w torebce, innym zabiegali drogę filuci i za lada cacko wyfrymarczali najdroższe zapasy życia... a mało bardzo było takich, coby donieśli do mety, co im Bóg dał, całe lub pomnożone. Naczęściej odarty i nagi przychodził człowiek do kresu i dopiero u drzwi niebieskich spostrzegł, że pró-

zną niósł torebkę. Byli i tacy, co chronili całą spuściznę swą, ale gdy przyszedli nazad do porachunku, pytano ich, czemu z Bożych darów nie korzystali i nie pomnożyli ich pracą?

Niektórzy zamiast brylantów niebieskich, wracali z torebką błota i piasku... inni z nalaną łzami gorzkiem i żalem... Ale tych staruszek Ojciec niebieski do serca przytulał, bo łzy i żal warte były drogich kamieni. Patrzył się tak a patrzył staruszek i byłby tam nie wiem jak długo pozostał, taki był widok cudny tych ziemskich pielgrzymów w białych z początku sukienkach, które się brukały, prały we łzach i znów świeciły i znowu czerniały... gdyby święty ów nie odciągnął go od okienka.

Zdawało się mu, jakby ze snu się przebudził i znalazł się znowu na tym kamieniu, na którym siedział przy drodze.

Ale pamięć tego widzenia przez całe się w nim nie zatarła życie; przypomniał sobie potem z czem wyszedł na pielgrzymkę życia i z czem z niej powinien powrócić; zbierał to, co utracił; pomnażał co zebrał, a gdy przyszedł do porachunku, pewnie łąą żalu pocziwą resztę torebki dopełnił.

II

GARBUCHA



A ty stara jakaś, jak ty śmiesz mnie się dotykać!

GARBUCHA

Któż nie zna a przynajmniej nie sły-
szał o tych ślicznych okolicach, które
się zowią Oj c o w e m i Piaskową
Skałą? Kraj to jest bardzo piękny,
górzysty, gdzieniegdzie lasami okryty,
strumieniami poprzęzynany i tak Bożą ręką
na pociechę ludziom stworzony, że się go
napatrzeć nie można. Teraz on dosyć jest
zamieszkany, ożywiony i ludny ale za bar-
dzo dawnych czasów tylko rozbójnicy
i różni ludziska w nim się ukrywali, któ-
rzy się obawiali siedzieć gdzieindziej, albo
ustronia i ciszy potrzebowali, bo im z tem
milej było. Za tych to bardzo dawnych
czasów, w jednej pieczarze niedaleko Oj-
cowa, obrała była sobie mieszkanie sta-
ruszka, o której nikt nie wiedział skąd tu
przyszła i jak się nazywała. Ludzie ją prze-
zywali „Garbuchą“, dlatego, że się trzymała
przygarbiona ze starości. Chodziła jednak

zwawo, i z kijem w rękę, z workiem na plecach obiegała całą tę okolicę, zachodziła do kościołów na modlitwę, do chat, w których chorym lekarstwa różne przynosiła. Twarz miała starą, pomarszczoną, żółtą, ale bardzo miłą i zawsze słodko uśmiechniętą. Szczególniej zaś lubiła dzieci i choć się one jej z początku obawiały, umiała je powoli oswajać z sobą, to im owoce przynosząc, to różne ciekawe opowiadając historyjki. Zachodziła równie do chat jak do dworów i wszędzie ją dobrze przyjmowano, bo była pobożną, a niektórzy nawet powiadali, że szczególne mieć musiała łaski u Boga, bo nietylko sama sobie radę dawała w najgorszym razie, ale i drugim była wielką pomocą. W parowie zarosłym gęsto drzewami był rodzaj pieczary odwiecznej, którą wody może wymyły, albo sama ziemia rozpęknięta stworzyła na schronienie dla zwierząt i ludzi. Garbucha, gdy nie chodziła po świecie, mieszkała samotna w tej pieczarze. Trzeba się było do niej drapać po ścieżce stromej, gdzieniegdzie naksztalt schodów wydeptanej. Otwór do środka prowadził mały, ten dawniej nie miał żadnego zamknięcia, aż litościwy jakiś chłopiec, którego Garbucha

uleczyła z choroby, zrobił jej z desek lada-jako skleconych, rodzaj drzwi. Drugi pomógł do wygrzebania w ścianie okienka i przyniósł dwie szybki w drzewo oprawne, aby staruszka choć trochę światła miała. Ona sama, z pomocą może tych co do niej przychodzili po radę, w środku sobie pieczary zrobiła rodzaj chałupki... W jednym kącie mogła sobie czasem mały ogień nałożyć, bo dym szczeliną w górę wychodził i nie bardzo dokuczał; w drugim miała łóżeczko z suchych liści i garści słomy. Kamień, który tam od wieków leżał, służył za siedzenie, drugi zamiast stołu. Więcej Garbucha nie potrzebowała.

Przy ścianie, naprzeciw okna i drzwi-czek, był jakby rodzaj ołtarzyka, krzyż, wianki, obrazek Najświętszej Panny, kilka świętych, a pod niemi kamień, na którym staruszka modląc się klęczała.

Wychodząc z domu, nie potrzebowała na kłódkę zamykać ziemianki swojej, bo niktby się jej progu przestąpić nie ważył. Gdy pora była brzydka, na dworze zawieja, śnieżyca, plucha: stara całymi dniami siedziała zamknięta, żyła lada czem i modliła się na książkach, co dziwiło niemało wszyst-

kich, że czytać i pisać bardzo dobrze umiała. Domyślano się z tego, że niegdyś w lepszym bycie musiała młodość spędzić.

O milę od tej pieczary, w której Garbucha mieszkała, stał wówczas dwór pański jednego kasztelana, przesiadującego najczęściej w Krakowie lub Warszawie. Żona jego tylko z maleńkim synkiem siedziała we dworze ze służbą liczną i dworem. Chłopak, a było mu na imię Juluś, był bardzo ładny, roztropny, żwawy, od obojga rodziców ukochany i nicby mu zarzucić nie było można, gdyby nie śmieszna jakaś duma i wyobrażenie, że wszyscy ludzie, którzy go otaczali, ledwie godni byli służyć i zbliżyć się do niego.

Może i pochlebcy dworscy, co mu się kłaniali i pieścili go, winni byli temu, bo pani kasztelanowa przeciwnie pokory go uczyła i obchodzenie się z ludźmi niegrzeczne, strofowała mocno. Niewiele to pomogło. Juluś do siebie nikomu zbliżyć się nie pozwolił, nie dając mu odczuć wyższości swojej.

Jednego razu Garbucha, która częściej do tego dworu zachodziła, niż gdzieindziej, a było to na wiosnę jakoś, przywlokła się

do ganku, i choć ją tu zaraz nakarmiono i obdarzono, kręciła się, jak mówiła, chcąc ładnego paniczka zobaczyć i pokłonić mu się. Bartek wyrostek, który mu posługiwał, pobiegł dać znać Julusiowi. Ten, coby miał być wdzięczny i ucieszyć się z tego, rozgniewał się, że stara jakaś żebraczka tak poufale się o niego dopytywała. Wybiegł zaraz do ganku, a gdy Garbucha chciała za brzeg sukienki wzięwszy pocałować ją, wyrwał się jej, fukając niegrzecznie: — „A ty stara jakaś, jak ty śmiesz mnie się dotykać!”

Usłyszawszy to stara, podniosła głowę i Juluś zobaczył jak jej łzy z oczów pociekły. Zmieszał się, pomiarkował, ale Garbucha nic nie mówiąc, do bramy pospieszyła i znikła.

Niektórzy ze sług pochwalali ten postępek panicza, drudzy siedzieli markotni z oczyma spuszczone, ale widać było, że im się to nie podobało. Matka o tym wypadku nie wiedziała wcale. Julusiowi jako jednynakowi pozwalano wiele, a gdy czasem kasztelanowa do Krakowa pojechała, zostawiwszy go z dyrektorem i ze służbą, chłopiec dokazywał bez miary. Jednego tedy dnia letniego, gdy matki nie było, Juluś

sam z Bartkiem, maleńką strzelbeczkę wzięwszy, wybiegł w lasy pobliskie. Bartek bojaźliwy napróżno go chciał wstrzymywać, Juluś puścił się odważnie w głąb zarośli, a że mu się kraska nastraszyła na krzaku, do której chciał strzelić i zrywała się ciągle daleko, idąc za nią zabłąkał się... Bartka też zgubił. Gdy się opatrzył i bać zaczął, już ani drogi ani głosu ludzkiego koło niego widać ni słyszeć nie było.

Juluś choć dosyć odważny, zapomniał o krasce i począł szukać ścieżki, lecz im się niecierpliwiej kręcił, tem bardziej błakał.

Słońce piekło z góry, bo już było z południa, jeść mu się chciało, zmęczonym się czuł, na płacz mu się zbierało... Zrywał się, siadał, hukał, klaskał, nic nie pomagało. Okolica już była nieznajoma, coraz większe góry i parowy, dziko, bezludno i straszno.

Spuszczając się w dół, drapiąc na wierzchołki, kręcąc w prawo i lewo, Juluś w końcu nie wiedział już nawet, w której stronie szukać miał dworu. Na jego hukanie wreszcie głos się jakiś odezwał, a po chwili krzaki zaszeleściły i ukazał się mężczyzna z brodą czarną, ogromny, straszny, który Julusia zobaczwszy, począł się śmiać.

Porwawszy się na nogi, chłopak co żywiej po swojemu dumnie i rozkazująco odezwał się do niego, że jest synem kasztelana, żeby go zaraz do dworu odprowadzono, gdzie nagrodę za to dadzą; zbój z brodą nic na to nie zważając śmiał się.

— Jesteś synem kasztelana — odezwał się wkońcu, — a to dobrze, weźmiemy okup za waszeci, a że o tobie ludzie powiadają, że się z nimi obchodzisz ostro i wysoko zadzieraszą głowinę, z kilka dni pobędziesz u nas na nauce; nie zawadzi, gdy drevka i wodę nauczysz się nosić i starszych słuchać. To mówiąc zbój Julusiowi pokazał drogę, którą miał iść i rzekł:

— Ruszaj!

Juluś zaczął się odgrażać i chciał na ziemię położyć się, zbój wziął go na ręce gwałtem i poniósł kilka kroków, kazał milczeć i powtórzył: — „Ruszaj!“ Nie było sposobu, musiał słuchać. Szli tak długo, gdy zbój w ostatku zatrzymał się pod górą, ogromny kamień odwalił i Julusia do pieczary zamknął.

Tu oprócz niego znalazło się kilku jeszcze rozbójników, którzy Julusiowi nic wprowadzić złego nie zrobili, ale się nim posługi-

wali i tego dnia i następnych, pędzali go, szydzili sobie, tak, że nieborak ze strachu i z tej męki o mało nie zachorował. Przyzwyczajony do wygod, musiał spać na gołej ziemi, jeść suchy chleb i wodę ze źródła nosić i ogień nakładać. Cała pociecha jego była teraz w modlitwie, a gdy wieczorem pacierz odmawiał, przyszło mu na myśl, iż go Pan Bóg tak pokarał za to, że się obzedł niemiłosiernie z ową staruszką Garbuchą. Postanowił sobie w tem nieszczęściu, jeśli Pan Bóg da się wyzwolić od zbójców, dla wszystkich ludzi być uprzejmym i dobrym.

Tymczasem po zbłąkaniu się Julusia, kasztelan i matka na całą okolicę rozesłali ludzi, aby go szukali; ale zbójcy, którzy o tem wiedzieli, śmiali się z tego, bo w kryjówce swej byli bezpieczni. Jeden tylko z nich do Garbuchy poszedł nocą i powiedział jej, aby ona do dworu szła i okup im przyniosła, a oni chłopca wydadzą. Tak się też i stało. Nocą dnia następnego zbój okup odebrał i Julusia odartego, bladego, wystraszonego, przed drzwiami chaty Garbuchy zostawił, a sam umknął.

Julus do dawnego nie był podobny

i o mało że w ręce staruchy nie całował, ale teraz ona z daleka się od niego trzymała i widać po niej było, że pamiętała lzy swoje. Nakarmiła go, napoiła, położyła spocząć na swem pościu, lecz nie zbliżała się i półsłówkami odpowiadała tylko. Wkrótce potem nadjechali ludzie i matka, aby zabrać Julusia, i radość była wielka dla wszystkich, ale on sam smutny był, czując, że mu staruszka nie przebaczyła.

Po tym wypadku zmienił się bardzo chłopiec i wyszło mu nieszczęście na dobre bo dla ludzi był wcale innym.

Rok potem jakoś upłynął, gdy raz późnym wieczorem kobieta z pobliskiej wioski przyniosła kasztelanowej list, a raczej kawałek papieru niewyraźnie zapisanego. Przeczytawszy go, z ogromnym płaczem i krzykiem zerwała się matka Julusia, wołając koni i ludzi...

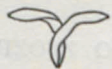
Nie można było zrozumieć co się stało; kasztelan właśnie nadjechał z Krakowa i oboje, Julusia z sobą wzięwszy, natychmiast, mimo, że mrok zapadł, udali się w góry, ku temu miejscu gdzie Garbucha przebywała.

Gdy do ziemianki jej przyszli, był tam

już ksiądz i staruszka umierająca ostatnie odmawiała modlitwy...

Zdziwił się Juluś niezmiernie, zobaczywszy matkę swoją klęczącą u łóżka Garbuchy i całującą jej rękę...

Garbucha ta bowiem, która była matką kasztelanowej, wielkiej pobożności i pokory, naprzód do klasztoru odległego się zamknęła, aby Bogu służyć, potem dobrowolnie została pustelnicą, aby jeszcze cięższem życiem zapracować sobie zbawienie. I Juluś dopiero teraz zrozumiał, dlaczego staruszce łzy pociekły z oczów, gdy się do babki rodzonej tak odezwał zuchwale. Od-tąd też każdą starość szanował i dla wszystkich, najbiedniejszych ludzi, był miłosier-nym i uprzejmym.



III

GŁUPI MACIUŚ



Wziął sierotę za rękę i poprowadził do sołtysowej żony.

GŁUPI MACIUŚ



tym głupim Maćku, o którym wam już nieraz może niańki i służące różne dziwne historyjki opowiadały, powiem i ja wam jedną, której może nie słyszeliście. Był sobie raz możny wieśniak, który miał trzech synów, dwóch rozumnych, a trzeciego wszyscy za głuptaska mieli. Ojciec wzdychał, matka płakała, patrząc nań, bracia się śmieli, ludzie ramionami ruszali i mówili: co z tego biedaka będzie? — Maciek miał dobre serce, powolny był, posłuszny, pracowity, ale wygadać się jak drudzy nie umiał, i co mu kto powiedział wszystkiemu wierzył. Po szedł w pole do roboty, a miał z sobą w korbialce albo w dwojaczkach jedzenie, spotkał ubogiego, albo nawet głodne psisko, zaraz częstował, dzielił się, czasem i wszystko oddał, a sam powracał na czczo. Ale śmiał się z tego i wesół był, a drudzy też wy-

śmiewali się z niego. Nigdy się nawet i za to nie pogniewał i powiadał im: „na zdrowie!” Litowano się nad nim powszechnie, bo stary ojciec przewidywał, że gdy mu umrzeć przyjdzie a Maciek zostanie sam na kawałku gruntu, z gospodarstwem nie da sobie rady i zejdzie w prędcie na dziady. Na opiekę starszych braci nie wiele było można rachować, bo ci go lekceważyli, a o sobie tylko myśleli. Matka też popłakiwała nad przyszłym jego losem, frasując się, co z niego będzie.

Rodzice już nie byli młodzi, więc na-przód staruszcze się zmarło, a ojciec zate-skniwszy za nią, wkrótce też obległ i na śmierć się dysponował. Nim zaś nadeszła ostatnia godzina, zwołał jeszcze synów wszystkich do siebie, starszym zalecając aby nad Maćkiem opiekę mieli, nie opu-szczali go, pamiętając, że on im jest rodzo-nym bratem.

Po śmierci ojca, pogrzebie i stypie przy-szło tedy braciom dzielić się ojcowizną. Maciek tam oczywiście żadnego głosu nie miał siadł pod piecem i mówił: „co mi da-cie, to wezmę”.

Bracia, niedobre chłopcy, myśleli tylko

jakby się Maćka zbyli. Gruntu mu dawać nie chcieli, pieniędzy się nie znalazło w skrzy-ni, a gdyby i były jakie, pewnieby ich Mać-kowi nie wydzielili... Z bydełka, roboczych wołów i koni, co było tego, potrzebowali do gospodarstwa, które między sobą na połowę rozdzielili. Maćka chcieli wykwito-wać lada czem, i starszy mu rzekł:

— Co ty tu będziesz robił? głupi jesteś, poszedłbyś w świat po rozum, możebyś go na drodze napisał. My cię za parobka wziąć nie możemy, boby ludzie na to sarkali... Ruszaj sobie gdzie na służbę za oczy!

Jużci, na drogę coś ci się da, rzekł młodszy, — abyś nie biedował, póki służbę znajdziesz... Dostaniesz kożuszyne przeno-szoną, a bodaj i starą siermięgę po ojcu, a czapka też nieboszczyka nieźła... no i kij jego w dodatku, abyś się miał czem psom opędać.

Niebardzo się Maćkowi z tej chaty chciało do której był nawykł, prosił się więc, aby go choć za parobka lub pastucha u siebie zostawili, ale bracia się na to w żaden spo-sób zgodzić nie chcieli.

— Z ciebie dla naszego całego rodu tylko pośmiewisko; żaden z nas żony nie dosta-

nie póki ty tu w chacie będziesz. Ruszaj, gdzie cię oczy poniosą!

Naglili tak istawali, że w końcu zgodził się Maciek iść precz, byleby mu dali się czem okryć i jaki grosz na drogę.

Gdy Maćka już w podróż trzeba było wyprawiać, bracia poszli do komory i wybierali odzienie co najstarsze i najgorsze, śmiejąc się, a opowiadając, że to jeszcze dla niego aż nadto dobre było. Maciek się ani spierał, ani napierał, brał co mu dawali. Dostał więc jak postanowili, starą kozuszykę wynoszoną po ojcu, starą jego siermięgę, czapkę baranią i kij, buty jedne podarte i parę łapci w zapas.

Nie straciwszy mimo to serca do braci, pięknie się z nimi pożegnał, starszego w rękę pocałował, młodszego uściskał, nawet z psem Burkiem, który go za wrota przeprowadził, przystojnie się rozgadał, no i poszedł w świat.

Na drogę dali mu bracia dziesięć trzygroszniaków.

Szedł tedy głupi Maciuś polem, borem, gdzie go oczy niosły, ale naprzód zawrócił pode wsią na cmentarz, aby się na grobie ojca i matuli pomodlić. A był dzień wiosenny piękny, i na tej Bożej roli tak kwiatki

bujały i rosły, jak na najweselszej łące i pachniało dokoła i ptaszęta śpiewały.

Znalazł Maciek w rogu cmentarza mogiłę, na niej krzyż, który on sam z drzewa wyciosał, przykląkł tedy, zmówił Anioł Pański, a potem siadł odpoczywać i dumać. Kiedy tak sobie myśli o ojcu i matuli a o tem, co z sobą robić będzie i gdzie ma chleba szukać, patrzy, aż siadła na ogrodzeniu srocza i kiwa do niego główką, jakby się z nim witała. Maciek się też jej pokłonił, bo sroka sroka, a każdemu dobrze życzył i nikomu chybić nie chciał. Patrzy on na nią, aż otworzyła dzióbek i poczyną gawędkę:

— Jak się masz Maćku?

— Zdrowa bądź sroczo! Bóg zapłać.

— Coś to ty tak markotny?

— A no widzisz, szukam służby, nie wiem czy znajdę, braciom trzeba było ojcowizny ustąpić, idę w świat.

— No, no — odezwiała się siedząca na płocie, — przecież ty tak biedny nie jesteś. Ojciec wiedział dobrze, że ci bracia dadzą pewnie jego starą siermięgę. Popatrzno w niej do-dobrze; całe życie w nią dukaty zaszywał. Porozparaj rękawy i kołnierz, znajdziesz za co sobie chatynkę i kawał gruntu kupić...

Zakręciła sroka ogonkiem, zaśmiała się i poleciała. Myśli tedy Maciek — a może i prawda! bo ptaki różne rzeczy wiedzą. Wziął się tedy do siermięgi i począł pruć, aż posypały się obrączkowe dukaty, a było ich tyle, że w podolek od koszuli zawiązawszy je, nabrało się z pół garnca.

Podziękowawszy tedy ojcu, poszedł wprost Maciek do bliskiego dworu i chatę z ogrodem, jak należy, i z kawałkiem gruntu kupił, a jeszcze mu przygarść została na początek gospodarstwa. Trzeba było i koni i wołów i owieczki i świnki i wszystkiego, co w podwórku i chlewkach być powinno. Musiał tedy iść na targ do miasteczka, a że mu bez chłopca w chacie trudno było samemu, a trafił się sierotka, wziął go sobie do pomocy. Dopieroż ani dnia ani nocy nie szcędząc, do roboty się jął Maciek, jako to na swem własnem z wielką ochotą. A szło mu wszystko jak z płatka. Nie wyszedł rok, gdy już głupi Maciek tak zasobny był a tak u niego wszystko ślicznie się udawało, że mu sąsiedzi zazdrościli. Już mu tedy i żonę swatano, ale nie chciał się żenić, dopóki się dobrze nie rozpatrzył.

Jednego wieczoru, gdy na przyzbie sobie

siadłszy, chleb zajadał a serem zakąsał, patrzy, drogą jedzie wóz, krowa chuda z wołem do niego zaprzężona, a na wozie jeden z braci jego siedzi napity, drugi leży, — jadą i kłócą się. Zobaczywszy Maćka, zdziwili się mocno i stanęli...

— Cóż to, ty tu służysz, a jak się gospodarz zowie co cię wziął?

Na to Maciek śmiejąc się, powiada:

Tak się zowie jako i ja... niema go podczas w chacie, wstąpcie proszę, bo oto chłopak wieczerzę sposobi, będzie na nas trzech.

Bracia z wozu wylazłszy, do chaty szli dziwując się zamożności i porządkowi; i posiadali za stołem. Maciek piwa kazał przynieść i braci częstował. Gadu a gadu, począł im rozpowiadać o gospodarstwie, o zbiorze, o dostatkach, aż w końcu śmiejąc się, dołożył:

— Widzicie, że mi Pan Bóg poszczęścił bo gospodarzem, u którego służę, ja sam jestem, a wszystko co tu widzicie, moje!

— Jakże to może być! — zawołali bracia — kiedyś goły jak palec z domu wyszedł.

A no, daliście mi przecie starą ojcowską siermięgę, a w niej znalazłem, co mi nieboszczyk tatulo przeznaczył.

Porwali się bracia za włosy, widząc, że

się oszukali przez chciwość swoją, bo chata i gospodarstwo Maćkowe więcej było warte niż ojcowizna. Poczeli tedy krzyczeć i wymyślać, że oszukał ich i okradł.

— Wiecie co? — rzekł na to Maciek — gorsza mówicie ojcowizna, gospodarstwo u was podupadło, krowę widzę do woza zaprzęgacie. Mówicie, żem was pokrzywdził, głowa na głowę, — mieniamy się.

Bracia poszli się rozpatrzyć. Maćkowa część lepsza była od ich obu razem. — Zgoda! zawołali, ruszaj ty do naszej chaty, my bierzemy twoją, a wynoś się zaraz jak stoisz!

— Tylko starą siermięgę ojcowską zabiorę z sobą, i bywajta zdrowi! — rzekł Maciek, — milsza mi ojcowizna choć nędzna, niż wszystko. Szczęść Boże!

Skinąwszy tedy na sierotę swego, poszedł do wozu krową zaprzęzonego, chcąc go z sobą zabrać, bo mu się on należał wedle umowy, ale bracia i tego nie dali. Przepędzili go kijem za wrota.

Szedł tedy Maciek znowu, ale coby się miał smucić, radował się wielce. Dopiero gdy do chaty ojcowskiej dobił się a zobaczył ją pustą, kołkiem podpartą, w oborach nędzę, w stodole pustki, wszędzie brud

i nieład, serce mu się okrutnie ścisnęło. Jeszcze obchodził powyłamywane płoty dokoła, gdy na jednym z nich, patrzy, siedzi sroczka i ogonem wywija.

— Dobry dzień Maćku.

— A nie bardzo on dobry, — westchnął nowy gospodarz; — widzicie, co to tu za bieda, rąk niema za co zaczepić, jak ja sobie rady dam?

— Ale ba! — odparła jejmość z białym kołnierzykiem: — a Boża opieka? Jakoś to będzie. W komorze w rogu podłubcie, jest tam garnuszek dla was, co go matula zakopała.

Rozśmiała się pocziwa sroczka i furnęła. Maciek choć doświadczył że nie kłamała, ale niebardzo chciał wierzyć. Jednak do komory poszedł, łopatą poruszył ziemię, no — i garnuszek znalazł, ale dukatów w nim nie było, tylko talary, dobrą miarą około garnca. Panu Bogu tedy dziękował, odwagi nabrał, i dopiero całe gospodarstwo na nowo wielką pracą i zachodem zaczął podnosić. A szło mu i tak jak z płatka. Nieraz zdawało mu się, że ojca i matulę koło siebie widywał, jakby czasem mu co szeptali i podpowiadali, a cieszyli się; niekiedy sroczka na płocie siadała i wesołą

z nim rozpoczęła rozmowę, a zawsze jakąś dobrą dała radę. — Sąsiedzi niezmiernie się dziwowali, że głupi Maciek był tak rozumny i szczęśliwy, ale, że się wygadać i chwalić nie umiał, nazywali go przecie głupim Maćkiem i żartowali z niego. Markotno mu to było, bo już się dla gospodarstwa i z tęsknoty, że się sam jeden został, żenić chciał, a za głupiego Maćka nikt córki nie chciał dać. Gdzie się tylko zeswatał, odprawiano go z kwitkiem, aż jednego razu, idąc poza wsią, pod płotem, patrzy, siedzi dziewczątka obdarte i płacze. Stanął tedy i pyta:

— Co ty za jedna? co tobie jest?

Nierychło mu dla wielkiej żałości i płaczu, poczęła rozpowiadać powoli, że ją matula odumarła i tak sama jedna została na świecie.

Serce mu się ścisnęło na tę niedolę patrząc, a że jej sam skosztował, ulitowawszy się nad sierotą, wziął ją za rękę i poprowadził do sołtysowej żony, Barciechy.

— Barciecho, matko — rzekł? — oto biedna sierota jest, która przytułku nie ma, mnie jej do chaty brać nie godzi się, bo tam matki i opieki nie znajdzie, przyjmijcie wy ją i hodujcie jak najlepiej a ja zapłacę... I choć-

by nie wiem co miało kosztować — niech u was sierocie dobrze będzie!

Zgodziła się na to sołtysowa, zmiarkowawszy zaraz, że i posługę mieć będzie, bo jej sierota i ziela przyniesie, i gęsi popasie i wody zaczerpie, i Maciek głupi zapłaci jeszcze. Sierotka tedy została u niej a Maciek się o nią raz wraz dowiadywał i tak mu w oczach rosła a piękniała, że już myśleć zaczął, żeby się z nią ożenić. Sierotka przez wdzięczność, bardzo się do niego przywiązała i gdy miał przyjść, czekała na niego na drodze z uśmiechem i dobrem słowem. Sołtysowa się też jej odchwalić nie mogła, bo była pracowita, zręczna i roztropna.

Upłynęło parę lat, gospodarstwo Maćkowe szło znowu doskonale a ojcowizna tak się polepszyła, że mu sąsiedzi zazdrościli.

— Niema to jak głupim być, — mówili, — człowiek ma szczęście. Ot, i ten Maciek, niezdarą, trzech zliczyć nie umie, a tak mu idzie, jak po maśle.

Jednego razu, gdy Maciek wracał z pola i chciał sierotkę swą nawiedzić, nie znalazł jej jak zwykle w podwórku, ani przy studni. Patrzy, w progu sołtysowa stoi i fartuchem łzy ociera. Tknęło go coś, zbliżył się.

— Niema! naszej! Marysi! — rzekła. — Wczoraj jacyś wielcy państwo przyjechali i wzięli ją jak swoją, powiadając, że ich była. Nawet się jej z tobą pożegnać nie pozwolili, z czego mocno płakała i kazała tylko powiedzieć, że póki żywa o tobie nie zapomni.

Pocziwy Maciek coby był miał się zgryźć że ją utracił, począł Panu Bogu dziękować, że ją szczęście spotkało, ale poszedł do domu jak struty... Nic mu już w smak nie było...

Jakoś wprędce potem, jednego dnia, kiedy siedział nad misą klusek i jeść mu się nie chciało, posłyszał huk wielki: wpadli do chaty bracia jego, którzy już gospodarstwo od niego odebrane zmarnowali, i precz go wygnali z ojcowizny jak przywłaszczyciela, odgrając się, że zabijają, jeżeliby się śmiał pokazać i o cokolwiek upominać. Maciek nawet nie sprzecząc się, za kij wziął i poszedł w świat.

Idzie tedy, idzie polem, — aż szóstego dnia spotkał przy dworze dziewczátko, niby ową sierotkę, ale tak wystrojoną i wypiękniałą że mu ją trudno było poznać. Ta zaś Maćka zdala od razu poznawszy, rzuciła mu się na szyję i gwałtem do swej rodziny za-

prowadziła, jako dobroczyńcę, co ją w biedzie ratował. Został tedy Maciek przy dworze, niby w służbie, a jak go lepiej rodzice poznali, że sierotka bardzo go kochała, wydali ją za niego...

Trudno uwierzyć, ale tak ci było, bo i mnie na wesele prosili, i ja tam byłem, miód, wino piłem... po brodzie ciekło w gębie nic nie było... I koniec.



IV
MITRĘGA



A kiedy stękał głośno i narzekał, zbliżył się anioł do niego.

MITRĘGA

Posłał raz Pan Bóg na ziemię anioła, który nigdy jeszcze na niej nie bywał. Patrzył na nią tylko z wysoka, a do uszu jego dochodziły stamtąd skargi i narzekania. Ciekawym więc był z bliska ten padół płaczu zobaczyć. Sprawa, z którą został wysłany, nie była tak bardzo pilna, pozwolił więc Pan Bóg aby się bliżej rozpatrzył po ziemi.

Gdy anioł postać ludzką przybrawszy spuścił się na zieloną dolinę, zewsząd lasem otoczoną, przez którą płynęła rzeczulka, a była właśnie wiosna: ptactwo wśród drzew, na łące, w powietrzu śpiewem i szczebiotaniem ją napępniało, — kwiaty rozkwitały, powietrze wonne było i świeże, bardzo mu się ziemia podobała. Uśmiechnął się do niej mówiąc w duchu, że ludzie bardzo zepsuci być muszą, gdy się na pobyt w takim raj u skarżają.

Bo ziemia na pierwszy rzut oka wydała mu się rajem. Począł się jednak rozpatrywać dokoła i spostrzegł najpierw wilka który zakradłszy się za krzakiem, skoczył do owcy zadusił ją i pożerał. To mu się nie podobało. Trochę dalej lis siedząc u jamy, w której mieszkał, chrupał kurę świeżo pochwyconą. Na drzewie jastrzęb darł gołębia, a w gałęziach jego pajak czatował na muchy. — Pomyślał sobie jednak, że taki musi być na świecie porządek między zwierzętami, aby się silniejsze karmiły słabszymi, ale między ludźmi inaczej być musi.

Jednakże ciekaw był posłyszeć jak się zwierzęta tłómaczyć będą ze swego okrucieństwa, i zapytał naprzód wilka, za co nieszczęśliwą owcę, matkę dzieciom, tak nie-litościwie zamordował?

Bo mi się jeść chciało! — odpowiedział wilk nie obwijając w bawełnę.

Gdy się zbliżył do lisa i zadał mu pytanie co do kury, otrzymał odpowiedź, że to była istota niegodna litości, pełna przewrotności i zdradziectwa, że zgrzeszyła nawet przeciw Bogu, bo grzebała w ziemi i dobywała ziarnka, które Opatrzność siała aby zeszły i kwitły, że dopuściła się mężo-

bójstwa na kilku statecznych robaczkach, które połknęła bez litości. On więc, lis choć z boleścią serca, musiał na niej wyrok sprawiedliwy wykonać.

Gdy się jastrzębia spytał o gołębia, odparł mu, że gołąb nie zdał się na nic tylko do jedzenia, bo śpiewać nie umiał i pierze miał nie piękne, a chodził niezgrabnie. Pająk w sprawie much zagadnięty, tłómaczył się, że całemu światu były naprzykrzone, i że oddawał ogromną przysługę ludziom i bydłu, tępiąc ten owad paskudny. Nawiasowo zaś dodał, że tłusta mucha była wcale smaczną.

Z tych odpowiedzi niewiele się nauczyłszy, prócz, że zwierzęta dużo w sobie miały przewrotności, zagadał jeszcze anioł do kwiatów i drzew, jak się im działo, pewnym będąc, że im dobrze być musi. Lecz zaledwie się odezwał, gdy skargi zaszeleściły dokoła. Stary dąb stękał, że go pastuszki opalały, że ptacy mu gałęzie gniazdami zabrukiwały, że mech na niego wlażył, że burze nim targały.

Krzaki użalały się na sąsiedztwo dęba, który z ziemi wszystkie soki wyciągał, tak że im do życia nie pozostawało prawie nic; trawa się skarżyła, że ją bydło gryzło; ło-

puchy, że pod niemi żaby mieszkały; dzwonki, że je dziewczęta rwały do wianków. Słowem nikt ze swojego losu kontent nie był.

Lecz że to były wszystkie stworzenia nie obdarzone rozumem, anioł sądził, że z ludźmi inaczej być musi.

Po drodze zdziwił się, że kamienie nawet szemrały i piszczały, jedno na pleśnie i porosty, drugie na to, że je łupano w kawały na budowy, inne, że korzonki drzew wciskały się im pomalutku w samo ich ciało i bardzo prędko, w jakie sto, dwieście lat, w proch gmach obracały.

Zamyślony anioł szedł przez las ale mu się już ziemia takim rajem nie wydawała jak zrazu.

Na skraju lasu trafił na ubogą chatkę, w której mieszkał budnik, który się zwał Mitręga. Było to bardzo biedne człeczysko. Właśnie przyniószszy wody, siedział w progu i łupał szczepki, żeby było czem ogień podpalić i jeść zgotować; odziany był ubogo, koszulę miał czarną, włosy nieuczesane, ręce zasmolone, i stękał głośno a narzekał.

Zbliżył się anioł do niego. — „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

— Na wieki wieków, — odpowiedział Mitręga.

— No i cóż tam u was słyhać? — zapytał, — jakże tam na roli i w domu?

— A! zachcieliście, — rzekł Mitręga — bieda i po wszystkim; nędza coraz gorsza, co roku to ciężej na chleb zapracować, pot się z czoła leje, chwileczki spoczynku człek nie ma. A tu dzieci kupa, a tu wszystko jeść woła, i na moich ramionach dom, gospodarstwo, aż już tchu niestaje.

— Cóż ci to najbardziej dolega? — badał anioł — powiedz mi szczerze.

— Co? chyba wszystko! — począł Mitręga. — Dobrego niema nic, złe od rana do nocy prześladowuje. A ze wszystkiego najgorsze to, że nieustannie, bez spoczynku pracować potrzeba.

— W niedzielę przecie odpoczywacie! — rzekł anioł.

Bodajesz tak zdrow był — zaśmiał się Mitręga. — Toć muszę dREW babie przynieść, wody przygotować, często rzepe skrobać, w ogień dmuchać, bydelku zarzucić paszę, napoić! A! A! kto to zliczy.

— Ale i w ciągu roku — mówił anioł — przecie są tygodnie i miesiące, w których wypoczywacie.

Mitręga się począł śmiać.

— A skądże to was tu Pan Bóg dał? Chyba nie znacie życia naszego i porządku ziemskiego. Kiedyż to spocząć można. Zimą to się młóci, wysiewa, wywozi, a długo tam tej zimy. Namarznie człek, prawda, ale żeby wypoczął?! gdzie zaś. A tu ledwie wiosenkę skowronki zazwiastują, ruszają z gnojem w pole i z sochą, trzeba siać, żeby grad miał co wybijać. Skończyła się siejba, zaczyna się zbiórka; jeszcze ziarno moknie w kopicach a tu przepiórka woła; „pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!” Nim się owsy pokłosiły, a tu już orać trzeba na gwałt, aby pierwsze żyto na Bartłomieja zasiać.

I westchnął Mitręga, a że się rozgadał, więc mu język chodził już jak rozpędzony kołowrotek, który choć prządka odejdzie, jeszcze się obraca.

— Ale bo tak źle na świecie, źle! Spoczynku niema. A nie wiadomo nawet czy i na drugim będzie lepiej, bo tam jak słychać, trzeba będzie z aniołami dzień i noc śpiewać a to także robota.

— Więc ci się robota tak naprzykrzyła?

— zapytał anioł.

— A jużci a jużci, — odparł Mitręga —

bo jakem się urodził, tom spoczynku nie znał.

Coś sobie anioł pomyślał i powiada mu:

— Człeczko kochany, żal mi cię. Wiesz co? oto ja ci dam worek złota, rozumiesz? ale pod tym warunkiem, żebyś sobie życie urządził spokojnie i żebyś nic a nic nie robił.

Mitręga mu się do kolan rzucił, całując go po nogach i zbawcą swym nazywając, a gdy chciał dziękować jeszcze mocniej, anioł wstał i polecał co prędzej. Powtórzył mu tylko jeszcze raz, że teraz już nic a nic robić nie ma.

— A ktoby tam o robocie myślał, kiedy może za piecem leżąc słoninę z chlebem jeść, odparł Mitręga.

Szedł tedy anioł dalej, a co widział i słyszał, tego my już opowiadać nie będziemy.

Tymczasem ów Mitręga panem się stał, i począł we wszystko opływać, Panu Bogu dziękując. Miał już i parobków, i włodarzy, i dozorców, i tak jak sobie życzył, za piecem się umieszcili, szperkę przyskwarzoną z chlebem zmiatał, piwem popijał, dobrze mu się, strasznie dobrze działo.

Przyszła tedy zima, przywieziono mu drew napalono w piecu, a Mitręga z boku na bok się przewracając, Pana Boga chwalił.

Wtem jakoś po krótkim czasie, napadło go poziewanie. Ziewa, ziewa, aż mu w szczękach trzeszczy; co ziewnie to krzyżyk robi na ustach, niepomaga. Myśli sobie, wstanę, Zwlókł się tedy do okna, na ławie siadł, popatrzał sobie na podwórko, drzemiac. Nudno mu było.

Zbierało się już jakoś na drugą wiosnę, na podwórku wróble kupami latały, to przypadając ku ziemi, to gniazda ścieląc; skowronek bujał, jaskółki błoto w pyszczkach nosiły, bociany po łąkach się uwijały, co żyło strasznie się ruszało krzątało, kłopotowało a śpiewało wesoło.

Mitręga ziewał. — Chwała Tobie Panie — myślał, — że ja nie potrzebuję nic robić, to się za wszystkie lata wywczasuję.

A no, ziewał bo nudno mu było.

Wyszedł na podwórze i siadł na przyzbie.

A tu paropcy z dziewczętami się kręcą, ciężary dźwigają, bydło zaganiają, z pługami wychodzą, z bronami wracają. Mitręga sobie siedzi ręce złożywszy, palce około palców okręca i ziewa. — Dobrze mi!

Wieczorem poszedł za piec. Ale że cały dzień drzemał, zasnąć nie mógł. Począł się

wyciągać, sen nie przychodził, przeleżał tak do rana.

— Dawaj babo jeść!

Przynieśli mu misę ogromną klusek; wziął się do niej zajadać — ale, apetytu nie było. Zdawało mu się, czy przydymione, czy nie dosolone: soli dosypał, słoniny dołożył. W gardło nie idzie. Więc do piwa. Piwsko zdawało mu się kwaśne, — woda niesmaczną.

Babę polajał, dostało się wszystkim potrosze, na ławie siadł i muchy spędzał.

Dzień mu się wydawał długi, taki, że ani przeżyć; nadeszła noc, ani przespać...

Owo ziewanie napastuje go ciągle. Humor mu się popsuł.

W kilka dni stęknąć począł, sam dobrze nie wiedząc czego. W pole poszedł, nogi mu ocięzały, nagniewał się na parobków i powrócił zły. Cały dzień przekawęczał, całą noc znowu przestękał.

I myśli sobie. — Co to jest? Wszystkiego podostatkiem mam czego dusza zapragnie, a do niczego ochoty nie mam.

Ale przypomniawszy sobie z trwogą jak ciężko dawniej pracował, pocieszył się tem, że nic nie robi i usnął. We śnie mary go

trapiły, obudził się z bólem głowy strasznym a taki zły, że ani przystępu do niego.

Co tu robić? Ba! — poczynano mu się już zachciewać byle czem ręce zająć, choćby pójść drewek narąbać, ale wstydził się — a potem słowo dał. A słowa, choćby Mitręga dotrzymać musi.

Sam sobie nałajawszy, siadł Mitręga na przyzbieiorzechy gryzł. Wszystkie prawie były dziurawe. Narzekał tedy znowu jaki jest strasznie nieszczęśliwy i pluł i złorzeczył. Już ku jesieni — życie się stało nie do wytrzymania.

A co przy pracy zdrów był i okragły, teraz wychudł, zżółkł, zmizerniał i ledwie się trzymał na nogach.

Przyszło do tego na ostatku, że dawnego życia pożałował.

— Głupim był, — powiedział sobie...

W tem gdy tak się męczy, patrzy, idzie ten sam, który go złotem obdarzył.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków!

— A co u was słyhać, pocziwy Mitręgo? Jużci szczęśliwi jesteście, gdy macie coście chcieli?

Poskrobał się w głowę chłop. Nie śmiał się przyznać, że głupim się czuł.

— Pewnie, że z łaski waszej szczęśliwy, — rzekł wzdychając poniewoli, — a no coś mi jest.

— Cóż ci jest? — spytał anioł.

— Ot, czasami zachciewa się coś robić, bo mnie nuda zjada.

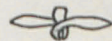
— Ależes przecie panem i pracować nie potrzebujesz — odezwał się anioł. — Chciałes państwa i spoczynku, to je masz.

Mitrędze już tak nuda i bezsenność dokuczały, że namyśliwszy się, do nóg dobroczyńcy padł.

— Wróc mnie do dawnego stanu! — rzekł do niego. — Już mi dziś nic nie smakuje, sen nie bierze, schnę i umrę. Co mi po bogactwie, kiedy szczęścia ono nie daje... Wolę biedować jak przedtem.

Anioł się nad nim ulitował i zmieniając postać, stanął przed nim jasnością okryty.

— Człowiecze mój! rzekł. Niech ci się więc stanie jako pragniesz; ale wiedz o tem, że na świecie całego szczęścia nigdzie niema. Pan Bóg zaś dał pracę człowiekowi, aby mu ulżył i życie znośniejszem uczynił. — Módl się więc i pracuj!



V
Z CHŁOPA KRÓL



O psie i kocie nie zapominając, dobrze się Gawel posilił.

Z CHŁOPA KRÓL



Na imię mu było Gawel, był najmłodszym z braci, — wszyscy oni uchodzili za rozumnych, jego głuptaszkciem nazywano; nie dlatego, żeby rozumu nie miał, ale że serce w nim było tak miękkie, że o sobie nie pamiętając nigdy, nad drugimi się litując, zawsze w końcu pokutować za to musiał.

Bywało, siadał u jednej miski, bracia go zawsze odjedzą, a wkońcu jeszcze i łyżkami po głowie biją, z czego on się śmieje... Najgorszą koszulinę zawsze miał, podarte łapcie, ale się tem nie gryzł i choć czasem przymarzył a wyglodził się, ale widział, że drudzy mieli do syta, a dobrze im było, — on radował się także. Starsi od niego zawsze co chcieli wydurzyli, a potem wyśmiewali się z niego. Ojciec i matka gryzli się tem, bo przewidywali, że na świecie źle mu bę-

dzie i nigdy nie dojdzie do niczego. Zostawiono go czasem w chacie do dozoru, — nie obeszło się bez szkody. Przyszedł ubogi a prosił, Gawęł mu oddał co gdzie znalazł, bodaj koszulinę z grzbietu, a zwierzęta karmił od gęby sobie odejmując, a każdemu na słowo wierzył i oszukiwał go kto chciał.

Ojciec go kilka razy obił za tę głupotę aby przecie o sobie pamiętał, ale rozumu mu nie nabił, Gawęłek jakim był, pozostał. Miał już taką naturę.

Raz gdy nikogo w chacie nie było a Gawęł na przyzbie siedział, zjawił się przed wrotami ubogi, ale tak strasznie goły, bosi, odarty, głodny, biedny, zapłakany, osłabły, że chłopcu okrutnie go się żał zrobiło. A jak mu jeszcze zaczął opowiadać o nieszczęściu swoim, Gawęł o wszystkim zapomniał.

Wziął go do chaty i co było w niej najlepszego, ojcowską koszulę, sukmanę, chodaki czapkę, oddał wszystko. Obiad, który stał na przypiecku przygotowany, odgrzał i nim go nakarmił. Naostatek wiedząc gdzie jest ojcowski węzelek, groszy co było w domu, oddał ubogiemu wszystkie, krom dwóch trzygroszówek.

Napojony, nakarmiony, odziany ubogi

odszedł błogosławiąc chłopca ale i śmiejąc się z niego potrosze...

Wkrótce potem matka z ojcem nadeszli, a Gawęł im z wielką radością wypowiadał się z tego co zrobił. Ojciec wpadł w okrutny gniew, tak, że go nawet matka pohamować nie mogła, począł syna kijem okładać okrutnie, grożąc, że go zasieczy jeżeli się kiedy w chacie pokaże.

— Idź trutniu! — wołał — idź, gdzie cie oczy poniosą, giń marnie i niech cię nie znam!

Gdy Gawęł miał już precz iść, matka się nad nim ulitowała i przez okno rzuciła mu dwie pozostałe trzygroszówki.

Wziął je biedak zasmucony, i — co było robić? — ojciec, choć mu do nóg padał, słuchać nic nie chciał, musiał precz iść. Myślał sobie, jak się ojciec przegniewa, powrócę — i przebaczy. Ojciec zaś mówił — niech sam nauczy się dbać o siebie, inaczej nas zuboży i nic z niego nie będzie.

Wyszedł tedy Gawęł na gościniec, popatrzał — dokąd tu mu iść?... westchnął do Boga i puścił się gdzie oczy poniosą.

Jeszcze się był niedaleko od wsi odsadził, gdy spotkał jednego ze swych braci.

— A dokąd to?

— W świat idę, ojczysko się pogniewało, nabił mnie i kazał precz iść, a na oczy mu się nie pokazywać.

Starszy brat roześmiał się i rzekł:

— Dobrze ci tak, boś głupi. Jak rozumu nabierzesz, wówczas powrócisz.

Odwrócił się od niego śmiejąc i poszedł.

Trochę dalej pod gruszą, patrzy, siedzi brat drugi i pyta go.

— Dokądże to?

— A no, w świat, bo mnie ojciec wygnał precz.

Drugi brat śmiać się też począł i powiada:

— Szczęśliwej drogi, głupi Gawelku! Będzie nas mniej, to się lepiej najemy.

Szedł więc Gawel, szedł, aż trzeci brat pędzi woły z paszy.

— A ty dokąd?

— Z chaty mnie wygnali... bywaj zdrow, wędrować muszę, a na drogę nie mam ino dwa trzygrośniaki.

Trzeci brat ruszył ramionami.

— Jabym ci i złamanego szeląga nie dał, odezwał się, takiemu głupcowi jak ty dawać, to w dziurawy worek tkać. Bywaj zdrow!

Pożegnawszy się w ten sposób z rodziną,

nie miał już Gawel co robić we wsi i okolicy i przyspieszywszy kroku, puścił się nieznajomą drogą. Głodno mu było, smutno bardzo po swoich, ale jednak Panu Bogu ufał. Kogo Bóg stworzył, tego nie umorzył, — mówił sobie. Kraj dookoła stał jakiś pusty bardzo. Szedł tedy, szedł, nikogo nie spotykając długo, aż idzie człek naprzeciw, a na plecach worek niesie, w worku się coś szamocze żywego.

— Boże pomagaj, — odezwał się Gawel — co to niesiecie, pocciwy człecz?

Ten stanął.

— Co ty mnie pocciwym nazywasz — ofuknął się, — pocciwy to znaczy głupi... ja nim nie jestem. Niosę kota czarnego aby go utopić. Kot był szkodnik, zamiast myszy łapać, mleko wypijał i do misek zagładał. Uczępię mu kamień do szyji i niech idzie na dno.

To mówiąc pokazał głowę kota Gawłowi, a było to stworzenie takie śliczne, lśniące czarne, z dużymi oczyma, z pyszczkiem różowym, że się Gawłowi niezmiernie żał go zrobiło.

— Takemu młodemu, ślicznemu kotkowi ginać!... Daj mi go! — rzekł do chłopca — co masz topić, ja go wezmę...

— Darmo! — zaśmiał się chłop. — O! nie, tego obyczaju u mnie niema. Wolę utopić jak dać darmo. Nabralbym złego nałogu.

— Zapłacić nie mam czem — odparł Gawel — całego majątku mam dwa trzygroszniaki, ale jeżeli jednym się zaspokoisz? Co robić! Byłem kotkowi życie ocalił.

Chłop podumał, ruszył ramionami, wziął trzygroszniak i kota mu oddał.

Gawełek szedł dalej, wesół, że bożemu stworzeniu życie ocalił, a kot też zdawał się rozumieć wyświadczone dobrodzieństwo, bo się do nowego pana tulił i pomrukiwał. Miał chłopiec w kieszeni chleba kawałek, więc choć sam jeść chciał, pomyślał, że on sobie łatwiej strawy dostanie. Przełamał chleb na pół, pokruszył go i nakarmił kota, który zjadłszy z apetytem na rękę u niego usnął.

Odszedł może stai kilkoro, patrzy, znowu człek idzie i worek niesie, a w worku się coś szamocze...

— Pomagaj Bóg człecze, — rzekł stając Gawel, — a co to za towar niesiecie?

— Towar? — odparł człowiek — nie towar to żaden, nie prosię tłuste, ani gęś, ale złe i niepoczciwe psisko. Drobiu mi już zdusił kilkoro, a szczeka, a po nocach wyje...

przywiążę mu do szyji kamień, niech idzie na dno.

To mówiąc, pokazał psa Gawłowi, który mu się wydał bardzo śliczny. Psiuk miał taką minę, jakby się prosił aby mu życie darowano. Litość wzięła Gawła.

— Dajcie mi go — rzekł.

— Darmo? toć skóra przecie coś warta? Kuśnierz ją zafarbuje i sprzeda za lisią. Co dasz?

— Jedyne tylko, ostatnie mam trzy grosze

— odezwał się Gawełek, dobywając groszniak z węzelka.

Co robić, dawaj choć tyle, — rzekł śmiejąc się człowiek — a nie to psa zabiję albo utopię.

Targ w targ, musiał Gawel zapłacić za psa ostatnie trzy grosze, a człek mu psiuka oddał i poszedł rychocząc ze śmiechu, głupim go zowiąc, o co się Gawel nie gniewał.

Pies około niego skakał, szczekał i przypadał mu do nóg.

Trzeba go było nakarmić. Dobył chłopak ostatni kawałek chleba, pokruszył go i psu oddał... Tak tedy z kotem na rękę i psem u nogi, puścił się dalej w drogę.

Głód mu mocno dokuczał a i nogi zmęczone nie dopisywały.

Siadł więc pod gruszą, na kamieniu, myśląc, co dalej robić?

Pies się położył z jednej strony, kot z drugiej. Gawel tymczasem Panu Bogu dziękował, że mu się dwoje stworzeń uratować udało.

Tylko głód czuł wielki i w żołądku mu świdrowało. Słońce się miało ku zachodowi, w polu jak zająć, ani gospody, ani miski. Co tu robić? Bieda! Ani sobie, ani zwierzętom poradzić. Dokoła pustynia, ani jeść nie ma co, ani się gdzie przespać, a tu noc nadchodzi.

— Albo to Pana Boga niema? — rzekł pocieszając się Gawel.

Spojrzał na swoich towarzyszków. Kot siedział, oczy żółte to przymrużając, to otwierając szeroko... Pies spoglądał na niego i ogonem kiwał.

— A co! bieda! — odezwał się wesoło do pieska...

Pies, jakby go zrozumiał, zerwał się, nosem pociągnął, zaczął chodzić wkoło, ziemię wąchać, naostatek nuż grzebać.

Grzebie, grzebie tuż przy nogach chłopca, aż się zasapał, coraz głębiej, coraz żywiej, ziemię łapami odrzuca, a oczy mu się świecą,

poszczekuje wesoło, coraz to spojrz na Gawła i grzebie dalej a dalej.

— Co to on sobie myśli? — rzekł w duchu Gawel; — jużci on darmo dla zabawki tego nie robi i musi coś znać i wiedzieć.

Wtem pies nozdrza zapuścił w wykopany dół, powąchał mocno, podniósł się i szczechnął, jakby w głąb wykopanej jamy pokazywał chłopcu.

Gawel wstał, pochylił się i zajrzał... Patrzy: na samym dnie leży coś błyszczącego; rękę zapuścił głęboko i dobył pierścienia, świecący, duży, piękny, ale piaskiem i ziemią oblepioną na nim okryty. Nigdy Gawel tak wspaniałego klejnotu nie widział i oglądał go z ciekawością wielką. Złoty był jakby ze sznura grubego upleciony, a w środku jego siedziało oko dziwne, patrzące jak ludzkie i mieniące się coraz to inną barwą. Gawel począł go ocierać, ażeby oczyścić, ale razem i myślał sobie:

— Pierścień jak pierścień, piękna rzecz, ale co mi z tego, kiedy gospody niema, ani wieczery...

Ledwo, że mu to przez głowę przeszło — patrzy — aż osłupiał... Stoi we drzwiach wspaniałej gospody, pies i kot też byli przy nim; jeden się lasi, drugi poszczekuje i prowadzi

go przez wspaniałą sień, do ślicznej izby. Żywej duszy w niej nie było, ale stół nakryty bielizną białą, a na nim wieczerza taka, że dwóchby się nią królewiczów najadło, taka dostatnia i smaczna. Misa klusek, ze serem aż się kurzy, chleb, masło, kura pieczona, woda we dzbanku, piwo i miód...

Niewiele tedy myśląc, zasiadł uradowany Gawęł sam jeść i dwór swój nakarmić bo o nim zapomnieć nie mógł; a jadł wygłodzony aż mu za uszami trzeszczało i Panu Bogu dziękował, na pierścień cudowny spoglądając, bo tego się dorozumiewał, że wszystko to jemu jedynie był winien.

Usługi koło stołu nie było żadnej, ale taki osobliwy porządek, że miski i talerze, skoro się wypróżniały, znikwały w oczach...

Gdy się Gawęł dobrze najadł i napił, zachciało mu się spać, i byłby się choć na ziemi położył, bo do tego był nawykły, ale w drugiej izbie widać było posłane łóżko, pościel śliczną białą, a w dodatku i odzież piękną, nową, w którą nazajutrz mógł się ubrać... Więc Panu Bogu podziękowawszy, szedł do łóżka, i jak legł tak natychmiast zasnął. Kot i pies pokładli się też przy nim.

Jak długo spał, sam nie wiedział, bo sen

miął tak mocny, że się nawet na drugi bok nie przewrócił. Otworzywszy oczy, zobaczył już wielki dzień, biały, słońce przyświecające wesoło, kot się umywał a pies siedział z uszami do góry i powitał przebudzenie pana wesołym szczeniem.

Skoczył Gawęł co żywo umywać się, odziewać, a bieliznę i suknie wdziawszy, sam siebie nie mógł poznać. Na ścianie wisiało ogromne zwierciadło, w którym przejrzawszy się, przekonał, że wypiękniał przez tę noc i do królewicza był podobny...

Zaledwie się tak przystroił, trochę mu się ckliwo zaczynało robić, bo byłby co przekąsił chętnie, gdy w pierwszej izbie zobaczył stół nakryty i już go zachodził zapach krupniku, tak pokuśliwy, że musiał do misy biedz co rychlej aby nie ostygł.

O kocie i psie nie zapominając, dobrze się posilił Gawęł. Cóż tu dalej robić? Siedzieć tak w niemej tej gospodzie samemu jednemu, jeść, pić i spać tylko — nudno. Pomyślał tedy sobie — trzeba w drogę dalej...

To mówiąc potarł swój pierścień i oto w mgnieniu oka, znalazł się znów na drodze, sam jeden z psem tylko i kotem. Gościńiec tylko był inny, nie ten, którym szedł wczoraj.

Szeroko wybity, wysadzany wielkimi starami drzewami, ciągnął się jak okiem zająrzeć krajem wesółym i żyznym, na który miło było popatrzeć.

Ludzi na polach uwijało się około roboty mnóstwo; złociste pojazdy szły drogą; na prawo i na lewo dwory, pałace i wioski widać było wesołe. Szedł więc Gawel dalej, w cieniu drzew powoli, wszystkiemu się przypatrując, a nie spiesząc. Przed nim biegł pies, za nim sunął się kotek...

Ponieważ Gawel w kieszenie nabrał chleba podostatkiem, nie potrzebował już we dnie gospody, siadł pod drzewami, sam się najadł i swoich towarzyszków nakarmił. Dopiero pod wieczór trzeba było o noclegu pomyśleć.

Znalazła się też jak raz wieś bardzo wielka i porządna, do miasteczka podobna, bo w środku jej było targowisko dokoła domami ostawione. Właśnie w chwili gdy wchodził tu Gawel, ogromne zbiorowisko ludu napełniało plac, a w środku na koniach stali ludzie i głośno coś z papieru czytali.

Widać było po konnych, iż z urzędu zostali posłani, bo mieli na sobie suknie wyszywane z herbami, i kapelusze z piórami na głowach,

a jeden wprzód trąbił nim drugi miał czytać, aby ludzie słuchali...

Cały tłum stojący dokoła zafrasowane bardzo miał twarze; niektórzy ręce łamali i rozpaczać się zdawali. Ten co na koniu siedział, czytał co następuje z papieru:

Z rozkazu króla Jegomości Gwoździka, ogłasza się wszystkim wiernym jego poddanym, że oto wielkie nieszczęście grozi państwu, albowiem potężny ale niegodziwy sąsiad król, Strasznej Góry, Bimbas, z wojskiem nieprzeliczonem ciągnie przeciw Gwoździkowi i chce kraj zniszczyć i zawojować. Ktoby przeciwko niemu wystąpił, a Gwoździka i jego państwo od zagłady uratował, temu król rękę swej córki jedynaczki, najpiękniejszej z królewien Marmuszki przeznacza i po sobie mu królestwo przekáže!

Słuchał tego czytania Gawel — i natychmiast spytał stojącego przy sobie wieśniaka którądy droga do zagrożonej stolicy i gdzie się nieprzyjacieli znajdował?

Na to jeden z heroldów odpowiedział, że Bimbas z wojskiem stał już o pół dnia od miasta, a do niego stąd nie było dalej jak dzień drogi.

Gawel począł zaraz pierścioneć swój trzeci i żądać, aby mu się wojsko stutysięczne ze-

brało dla pobicia nieprzyjaciela króla Gwoździka; miał bowiem na myśli ożenić się potem z królowną — Marmuszką no i spokojnie sobie panować temu królestwu. Jeszcze pierścień tarł, gdy ujrzał się na koniu, a poza wsią zaczęło się ukazywać wojsko wielkie i trzech wojewodów przybiegło do niego po rozkazy.

Gaweł wyjechał przez zdumiony lud się przerzynając, wśród okrzyków radosnych do swojego wojska, rozkazując mu biedz przeciwko Bimbasowi na obronę stolicy... Sam też z wojewodami puścił się w cwał, zapomniawszy nawet o swoim kocie i psie; ale oni oba tuż za koniem biegli nieodstępnie.

Nim rozedniało, wojsko Gawłowe, on i wojewodowie, już byli pod murami stolicy Gwoździka, który się był zamknął w niej, i ludzi miał mało i już nie wiedział co począć.

Bimbas tymczasem zbliżał się, zapewniony, że nie znajdzie siły, któraby mu się opierać śmiała, gdy Gaweł ze trzema wojewodami i wojskiem swem jak piorun spadł na niego!

Co się tam działo, opowiedzieć trudno; dosyć, że jak zajrzeć, pola okryły się trupami, a sam Bimbas zaledwie z życiem uszedł. Gaweł zaś po odniesieniu zwycięstwa, pod murami stolicy króla Gwoździka położył się obo-

zem, i trzech wojewodów wysłał w poselstwie z pozdrowieniem, dopominając się królowny Marmuszki w małżeństwo, wedle uroczyscie danego na to słowa.

Król Gwoździk, który z wieży na odniesione zwycięstwo patrzył wraz z królowną, natychmiast wyjechał na spotkanie przyszłego zięcia. Król był zgrzybiały, maleńki, a koronę miał ciężką i wielką na łysej głowie, która mu ciągle aż na nos prawie opadała, tak że ją podtrzymywać musiał...

Przywitał go Gaweł u namiotu swojego, uściskali się przyczem Gwoździk koronę pod pachę wziął, bez ceremonji i poprowadził go na zamek do córki. Tu wystrojona królowna Marmuszka czekała już na narzeczonego, w szatach ze złotogłowi, a — piękna tak, że jak od słońca bił blask od niej, ale minę miała dumną na wybawcę spoglądała z góry.

Gwoździk, pocziwe człowieczysko, koronę rzuciwszy do kufra i pozbywszy ceremonialnych strojów, w doskonałym humorze siadł za stół. Wesele Gawła z królowną Marmuszką odbyło się tegoż dnia, przy wielkiej radości wszystkich mieszkańców stołecznego grodu.

Byli na niem jeszcze trzej wojewodowie

Gawła i wojsko jego całe stało pod murami, ale że bardzo dużo jadło i piło, król Gwoździk przemówił się wprędce, czyby go nie można rozpuścić.

Gaweł zgodził się na to i poszedłszy w kątek potarł swój pierścień, wydając stosowne rozkazy. Nazajutrz wojewodów i wojska nie stało a Gaweł pozostał sam z żoną.

Wkrótce potem stary Gwoździk, który pić i jeść, a za stołem długo przesiadywać lubiał zjadłszy na wieczerzę ogromny krąg kielbasy, i wypiwszy całą stągiew piwa, w nocy Panu Bogu ducha oddał. Sprawiono mu pogrzeb wspaniały, poczem Gawła ukoronowano razem z jego żoną i poczęło się panowanie.

Kotek i pies przy nowym królu nieodstępni byli ciągle.

Jak Gaweł królował? domyślić się łatwo, znając dobre jego serce. Począł od tego, że biedny lud od wszelkich podatków i od ciężkich danin uwolnił, dla ubogich pozakładał szpitale i domy przytułku, a po całych dniach z kotem i psem chodząc, szukał żebraków, kalek i sierot, aby im pomagać, ratować, odziewać i karmić.

Królowej się to nie podobało, a jeszcze mniej wszystkim panom przy dworze, któ-

rzy na to nosem kręcili, że Gaweł ich pochlebstw nie słuchał i nie obdarzał ich, a cały był biednym oddany.

Zaczęli więc panowie owi podrwiwać z króla i nawet ośmielili się przed królową przebąkiwać, że król to był osobliwy jakiś i musiał sam być lichej kondycji, kiedy się tak kochał w pospolitym gminie.

Ubodło to królowę, która, choć męża kochała, dumną była z tego, iż pochodziła z wielkiego rodu Gwoździków i Ćwieczków. Zaczęła więc wypytывать męża o jego ród i genealogję. Gaweł śmiejąc się, zbywał ni tem ni owem, czem wielką wzbudził w niej ciekawość.

Zaczęła mu się więc bardzo przymilać królowa, udawać dla niego nadzwyczajną miłość i zaręczać mu, że choćby prostym chłopem był, ona równie kochała by go zawsze i wdzięczną mu była za ocalenie królestwa. Zwolna też coraz natarczywiej dowiadując się i badając go królowa Marmuszka, jednego wieczora, gdy sami byli i siedzieli w ogrodzie słuchając słowików, zaczęła go usilnie prosić i zaklinać, aby jej historję swoją od dzieciństwa poczynając opowiedział. Gaweł dobroduszny, wyznał jej wszystko,

a naprzód, że prostym chłopskim synem był, i jakim sposobem do tego cudownego pierścienia doszedł. Nie krył się nawet z tem, gdzie ten swój skarb nosił, i jak go potrzeba było używać.

Królowa Marmuszka dowiedziawszy się o tem, że zaślubiła chłopą, nie dała tego znać po sobie, ale niezmiernie się gryzła, postanawiając zgubić go i od niego się uwolnić.

Jednego tedy razu, gdy Gawel mocno zasnął, wcale się nie obawiając niczego, zakradła się królowa i pierścień mu zręcznie z zanadrza dobywszy, na swój palec włożyła, żądając od niego, aby Gawel natychmiast przeniesiony został do wielkiej wieży, na pustej wyspie wśród morza i tam do śmierci pod strażą siedział, więcej ani jej, ani królestwa swojego nie oglądając.

Gdy pocziwy Gawel obudził się, już był wedle rozkazanego żony zamknięty i zobaczywszy, że pierścienia nie miał, domyślił się, że go zdradziła królowa.

Wdrapał się na górne piętro wieży, aby choć zobaczyć, gdzie go osadzono, i ujrzał dokoła tylko jedno morze, a jak okiem zajrzeć, maleńką wyspę skalistą, o którą się

bałwany rozbijały, i morskie ptactwo, które żałośnie piszcząc, latało dokoła.

Kogo mu najbardziej żal było, to kota i psa, przyjaciół swych wiernych, których tu z nim nie było. Ale, gdy się to działo, ów pies i kot również po całym zamku swojego pana szukali, biegali, wachali, nie mogąc się domyśleć, co się z nim stało. Piesek dopiero pierścień spostrzegłszy na palcu u królowej, bo ta go nigdy nie zrzuciła, domyślił się, iż zdradą pozbyła się męża. — Wedwuz kotem osnuli więc plan, jakimby sposobem mogli dobrego pana pomścić i uwolnić.

Kot począł od tego, że z zajądlnością największą rzucił się na myszy zamkowe, aby zmusić je do pomocy, dla odzyskania pierścienia. On i pies, który mu we wszystkim dopomagał, tępil je bez miłosierdzia. Wkońcu też do ostateczności doprowadzone myszy, którym na zamku dobrze było i wynosić się z niego nie chciały, zwołały sejm w piwnicy.

Począwszy radzić z wieczora, ponieważ głosy były podzielone, a każda mysz chciała długą mową powiedzieć i pochwalić się, że umie pięknie mówić — radziły do rana i — nic nie uradziły. Nazajutrz zwoławszy się znowu, o mało się nie pokąsały! Cała gro-

madka podzieliła się na dwa obozy, a trzeci stanął w pośrodku, aby je godził. Tego zagryziono na śmierć. Dziesiątego dnia, gdy kot coraz okrutniej się pastwił nad niemi, postanowiono nareszcie wysłać do niego poselstwo...

Kot przyjął je, ale zapowiedział, że o żadnym „modus vivendi” mowy być nie może, dopóki myszy mu pierścienia od królowej nie dostaną. Wyszpiegował on, że w nocy królowa go w ustach trzymała, z obawy, aby się z palca nie zsunął, bo rękę miała małą i paluszki cienkie, a pierścień był duży.

Myszy tedy ratując naród swój od zagłady, musiały wkraść się do sypialni i czatować. A że to są stworzenia bardzo prześlne i mądre, obmyśliły łaskotać tak śpiącą Marmuszkę, aby śpiąca pierścień z ust wypuściła. Raz i drugi się nie udało, naostatek, gdy ciągle myszki ogonkami jej około ust poczęły łaskotać, królowa otworzyła je a pierścień wypadł i zsunął się na podłogę; tu pies i kot czekali już i pies chwyciwszy pierścień, natychmiast skrobać począł do drzwi, skomlić, aż służąca wstawszy, wypuścić go musiała.

Pies i kot razem tejże nocy wykradli się

precz z zamku i z miasta w pole, a że wiedzieli już instynktem, że Gaweł na wyspie pustej wśród morza się znajdował, wprost do morza dążyli... Szli i szli, bo bardzo daleko było od brzegu, aż nareszcie dostali się do niego. Ale jak tu się przez wodę przeprawić?

Kot nie umiał pływać, a nie chciał się zostać, bo utrzymywał, że bez niego się tam nie obejdzie. Ułożyli się więc, ażeby pies wziął go na grzbiet, a kot miał w pysku pierścioneć nieść i tak do wyspy płynąć mieli.

Wszystko z początku szło pomyślnie, byli już na pół drogi od wyspy, którą zdala widzieli, gdy pies zapytał kota:

— Masz pierścień? — A mam! — odparł kot — ale gdy to mówił, otworzył gębę i — pierścień wypadł z niej i w głębi morza utonął. Nie śmiał się już do tego przyznać ze strachu, aż stanęli na wyspie. Tu się pies pyta:

— A gdzie pierścień?

— Trzymałem go wiernie, — rzekł kot z boleścią, ale gdyś mnie zapytał niepotrzebnie, otworzyłem pyszczek, aby odpowiedzieć i... pierścień poszedł na dno morza.

Pies wpadł w ogromną wściekłość.

— Kocie! zdrajco jakiś — zakrzyczał — rób co chcesz! ratuj się jak możesz, ale to ci przysięgam na Cerbera, że jeśli mi pierścienia jakimkolwiek bądź sposobem nie odzyskasz, zagryzę cię na śmierć... a sam też potem głodem się zamorzę.

Kot nie miał innego sposobu, bo prostaczek był i wymyślić nic nowego nie umiał, tylko tak samo sobie postąpić z rybami jak na zamku z myszami. Stanął więc, by czatować na ryby i dusić je bez miłosierdzia.

Tysiące trupów leżało na brzegu, morderstwo było okrutne, ryby się przestraszyły. Zwołały więc i one sejm wielki, ale daleko inszy, niż u myszy. Zasiadły ogromne jesiotry, łososie, szczupaki i różne matadory, w jednej chwili uradziwszy poselstwo do kota. Drobne rybki musiały słuchać, i ani myślały się przeciwzić, boć im głosu nawet nie dano.

Kot już czekał na brzegu. Jesiotr stary począł do niego mowę ale tej on ani chciał słuchać.

— Śmierć wam wszystkim — zamiau-
czał — jeśli mi pierścienia nie dostaniecie. Róbcie co chcecie, inaczej pokoju nie będzie! Natychmiast ryby wielkie, którym się nie chciało samym w błocie i szlamie brukać na dnie, wykomenderowały dziesięć tysięcy

małych, aby pierścienia szukały i tegoż dnia uboga płotka go przyniosła... Stary jesiotr go jej odebrał i popłynął do kota.

Radość była wielka, ale na tem nie koniec. Pierścień wpawdzie mieli, a dostać się z nim do środka wieży nie było sposobu. Nie było do niej żadnego wniścia, żadnej dziury, żadnego okna i tylko wierzch miała otwarty, którądy powietrze wchodziło. Kot więc ofiarował się drapać na mur do pana., Pies został pod wieżą, siadł na skale i pilnował.

Lezie tedy kot, lezie, trzyma się pazurami kamieni, dobrał się do połowy wieży, a tu go siły opuściły... i buch... na ziemię. Ale, że kot zawsze na nogi pada, więc mało co się utrząsł. — Pies zawarczał:

— Musisz się dostać na górę, a nie, to cię zagryzę, próbuj drugi raz!

Ledwie wythnąwszy, kot po raz wtóry począł wędrówkę po murze i spadł znowu, a pies go za kark pochwycił i o mało nie zdusił.

— Polezę raz jeszcze, jęknął kot, tylko daj mi odetchnąć.

Za trzecim razem kot już tak pazurami się chwycił i wybierał dobrze kamienie, że się do wierzchołka dostał.

Gaweł właśnie siedział tam na ławce kamiennej i tęsknie na morze patrzył, gdy swojego pocziwego kota zobaczył, który bezsilny padł u nóg jego, a razem i złoty pierścień się potoczył...

Pochwycił go Gaweł uradowany, biedne stworzenie razem na ręce biorąc, bo kot już ledwie dyszał...

Ponieważ go tam na wieży o suchym chlebie i wodzie trzymano, król Gaweł głodny był i zmizerowany, więc potarł pierścień, żądając gospody, dla siebie, psa i kota...

I w tejże chwili znaleźli się wszyscy za stołem w tej samej izbie, w której Gaweł już raz bywał, gdy od rodziców wyszedł... Nie tylko odpocząć, zjeść i napić się potrzebował, a towarzyszków nakarmić, ale i o tem pomyśleć, co dalej robić. Do królowej, która go tak niegodziwie zdradziła, powracać nie bardzo chciał, chociaż ją kochał. — Wszelako pięknego królestwa żał mu było, a nade wszystko ubogich żebraków, kalek i wszystkich biedaków, którym mógł być pomocą i opieką.

Wyspawszy się i najadłszy, nimby coś postanowił Gaweł, zażądał on sobie przejść się trochę, między zielonością i drzewami,

których nie widział dawno, — znów więc na tę samą wybrał się drogę co w pierwszej podróży i trafił do tej samej wioski.

Dziwna rzecz, tak jak pierwszym razem, znalazł się tłum ogromny w rynku, przestraszony i lamentujący.

— Pocziwi ludzie, co się tu u was znowu dzieje — zapytał — biedę jakąś widzę macie?

— Och! bieda, bieda! — odpowiedział mu wójt, — a już nas teraz nikt ratować z niej nie przyjdzie. Królowa i królestwo padnie ofiarą. Niewiadomo co się z królem Gawłem stało, który panem był rozumnym i silnym. Teraz, gdy go niema, niepocziwy Bimbas dowiedział się o tem, ciągnie na stolicę i zawojuje nas, a zawojowawszy każe swoim językiem gadać, do swoich modlić się bogów i zażąda, abyśmy wszyscy skórę z siebie pozdzierali a powkładali tę którą on nam narzuci. A to jest najstraszniejsza rzecz, jaka naród biedny spotkać może.

Gaweł słuchał i dumał. Do królowej żał miał wielki, to prawda, ale czyż za to królestwo jego pokutować miało?

Potarł więc pierścień, żądając sto tysięcy wojska i trzech wojewodów. W mgnieniu

oka wojewodowie nadbiegli, wojsko stanęło, Gawęł na koniu siedział i ciągnął pod stolicę na odsiecz!...

Gdy się tu wojsko jego pokazało, a Bimbasa je zobaczył, nie czekając bitwy począł uciekać... Bito więc ich w pogoni na kapustę siekąc, a i sam niepoczciwy Bimbasa padł na placu.

Królowa z zamku patrzała i mdlała ze strachu. Wpradzie nieprzyjaciół został odparty, ale Gawęł, mąż jej będzie chciał się na niej pomścić za zdradę... Przebłagać go, nie widziała sposobu... Zwycięski pan wchodził już do swej stolicy...

Marmuszka zamknęła się w izbie, i padłszy na ziemię, losu strasznego jaki ją spotkać musiał czekała, będąc pewna, że król ją teraz na tę samą pustą wyspę zesze, aby tam w wieży siedziała. — Ale Gawęł nadto pocziw i dobry był, ażeby się miał mścić srogo... Otworzono wrota, panowie i starszyzna plackiem padła pod nogi panu, udając niezmierną radość z jego powrotu...

Gawęł nic nie mówiąc, wprost do żony prowadzić się kazał. Stanął we drzwiach.

— A co? królowo Marmuszko, — rzekł, a tom ja znów zjawił się w porę. Nieprawdaż? Na wieży mi się strasznie nudziło, Pan

Bóg pomógł, przyjaciele poratowali... Musimy tedy znowu żyć razem, bo co się sobie raz ślubowało, to się rozerwać nie może...

Mógłbym się ja mścić, ale nie chcę. Podła to rzecz...

Bez kary jednak słusznej nie ujdiesz, królowo moja.

Tu Marmuszka głowę podniosła słuchając.

— Jestem sobie prosty chłop... Gawęł... z chłopą królem zostałem i z tem się nie taje. Poszłaś za mnie Marmuszko, jesteś żoną moją, więc wraz ze mną musisz za karę iść i rodzicom moim w chacie ubogiej, do stóp się pokłonić... Naówczas wszystko ci przebaczę i zapomnę.

Królowa Marmuszka uściskała nogi jego i na wszystko się zgodziła.

Nazajutrz jak dzień, potarł król pierścień, żądając być na drodze do chaty rodziców... I on i Marmuszka, oboje w koronach złotych, w płaszczach z gronostajami, za niemi dwór, wozy, konie, skarby, aż strach. Idą, idą, aż jeden z braci Gawłowych pędzi woły z paszy, i zobaczywszy króla, padł na ziemię przestraszony, bijąc czołem. A był w prostej sukmanie, odarty i brudny. Stał król śmiejąc się.

— A coś to ty mnie nie poznał?... To-
ciem Gawęł, rodzony twój brat, tyłkom się
przez moją głupotę korony dorobił, gdy ty
z swoją mądrością woły pasiesz. Wstawaj
i chodź z nami.

Musiała tedy królowa Marmuszka ścier-
pieć, że chłop jeden już przy niej szedł.

Trochę dalej, patrzą, idzie brat drugi,
chude konie popędzając. Zobaczywszy or-
szak królewski, co prędzej na bok odegnał
szkapy i nie śmiejąc nawet spojrzeć na Ga-
wła, padł pozdrawiając go. A ten woła:

— Wstawaj! nie poznałeś mnie, brat
twój jestem, choć z nami.

Pod samą chatą nastraszył się ich tak
samo brat trzeci — i zbliżyli się nareszcie
do wrót.

Ojciec i matka wybiegli się przypatry-
wać orszakowi, który się zatrzymał. Rodzice
oboje niepoznali Gawła, aż po głosie, gdy
się odezwał do nich i pokłonił obojgu...

— Bóg wam zapłać; kochani moi, żeście
mnie precz z chaty wygnali, bo gdyby nie
to, nie doszedłbym do królestwa i nie mógł-
bym wam na starość być pomocą. Więc,
dziękuję wam z duszy, a gdy mnie Bóg na
tronie posadził, abym nie zapomniał nigdy

żem taki człek jako i inni ludzie, chodźcie
wy ze mną i zasiądźcie przy mnie w chłop-
skich sukmanach, abym się pokory uczył
i w dumę nie wzbijał.

To rzekłszy, Gawęł rodziców swych po-
szanowawszy, zabrał ich z sobą do stolicy,
w której gdy nowe sprawiwszy, sto lat
szczęśliwie królował z królową Marmuszką,
a synowie jego po [dziś dzień w tem pań-
stwie panują.



VI

KWIAT PAPROCI

IV
KWIAŃ PĄPŁOC



Kwiat taką jasność miał, że Jacuś musiał przymknąć powieki
aby go nie oślepiła.

KWIAT PAPROCI



d wieków wiecznych wszystkim wiadomo, a szczególnie starym babusiom, które o tem szeroko a dużo opowiadają wieczorem przy kominie, gdy się na nim drewna jasno pali i wesoło potrzaskują, że nocą św. Jana, która najkrótszą jest w całym roku, kwitnie paproć, a kto jej kwiatuszek znajdzie, urwie i schowa, ten wielkie na ziemi szczęście mieć będzie.

Bieda zaś cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku a taka niezmiernie krótka, i paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, a to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia aby na nią natrafić.

Ci co się na tych cudowiskach znają, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, niedo-

puszczają i nadzwyczajnej odwagi potrzeba, aby zdobyć ten kwiat.

Dalej jeszcze powiadają, że samego kwiatka w początku rozeznąć trudno, bo się wydaje maleńki, brzydki, niepozorny, a dopiero urwany przemienia się w cudownej piękności i jasności kielich.

Że to tak bardzo trudno dojść do tego kwiatuszka, i ułapić go, że mało kto go oglądał, a starzy ludzie wiedzą o nim tylko z posłuchów, więc każdy rozpowiada inaczej i swojego coś dorzuca.

Ale to przecież pewna, że nocą świętojańską on kwitnie, krótko, póki kury nie zapieją, a kto go zerwie, ten już będzie miał co zechce.

Pomyśli tedy sobie, choćby najcudowniejszą rzecz, ziści mu się wnet.

Wiadomo także, iż tylko młody może tego kwiatu dostać i to rękami czystymi.

Stary człowiek choćby nań trafił, to mu się w palcach w pruchno rozsypie.

Tak ludzie bają, a w każdej baśni jest ziarenko prawdy, choć obwijają ludzkie w różne szmatki to jąderko, że często go dopatrzyć trudno, ale taki ono jest.

I z tym kwiatkiem to jedno pewna, że on nocą św. Jana zakwita.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś, a we wsi przezywali go ciekawym, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniej dostać, on się najgoręcej do tego garnał., taką miał już naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekceważył, za ba-i-bardzo miał, a o co się musiał dobijać, karku nadłamać, najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, chcąc koniecznie psią głowę na nim posadzić, — stara niemczycha, baba okrutnie rozumna, która po świecie bywała i znała wszystko, poczęła powiadać o tym kwiecie paproci...

Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zasłuchał, że mu aż kij z rąk wypadł, a kozikiem sobie omal palców nie pozarzynał.

Niemczycha o kwiecie paproci rozpowiadała tak, jakby go sama w żywe oczy widziała, — choć po jej łachmanach szczęścia nie było znać. Gdy skończyła, Jacuś powiedział sobie: — niech się dzieje co chce a ja kwiatu tego muszę dostać.

Dostanę go, bo człowiek kiedy chce mo-

cno, a powie sobie że musi to być, zawsze wkońcu na swoim postawi.

Jacuś to często powtarzał i takie miał głupie przekonanie.

Tuż pod wioską, w której stała chata rodzicieli Jacusia, z ogrodem i polem — był niedaleko las, i pod nim właśnie obchodzono Sobótki, a ognie palono w noc świętojańską.

Powiedział sobie Jacuś: — gdy drudzy będą przez ogień skakali i łydki sobie parzyli, pójdę w las, znajdę ten kwiat paproci. Nie uda mi się jednego roku, pójdę na drugi, na trzeci, i będę chodził póty, aż go wyszukam i zdobędę.

Przez kilka miesięcy potem czekał, czekał na tę noc, i o niczem nie myślał, tylko o tem. Czas mu się strasznie długim wydawał.

Naostatek nadszedł dzień, zbliżyła się noc, której on tak wyglądał; ze wsi wszystka młodzież się wysypała, ognie palić, skakać, śpiewać i zabawiać się.

Jacuś się umył czysto, wdział koszulinę białą, pasik czerwony nowy, łapcie lipowe nienoszone, czapeczkę z pawiem piórkiem, i jak tylko pora nadeszła a mrok zapadł, szmyrgnął do lasu.

Las stał czarny, głuchy, nad nim noc ciemna, z mrugającymi gwiazdkami, które świeciły, ale tylko sobie, bo z nich ziemi nie było pożytku.

Znał Jacuś dobrze drogę w głąb lasu po dniu i jaką ona bywała w powszedni czas. Teraz gdy się zapuścił w głąb, — osobliwsza rzecz, nie mógł ani wiadomej drożyny znaleźć, ani drzew rozpoznać. Wszystko było jakieś inne. Pnie drzew zrobiły się ogromnie grube, powalone na ziemi. Kłody powyrastały tak, że ani ich obejść, ani przez nie przeleźć; krzaki się znalazły gęste a kolące, jakich tu nigdy nie bywało; pokrzywy piekły, osty kasały. Ciemno, choć oczy wykół, a wśród tych mroków gęstych, coraz to zaświeci para oczu jakichś i patrzą na niego, jakby go zjeść chciały, a mienia się żółto, zielono, czerwono białe, i — nagle migną i gasną. Oczu tych na prawo, na lewo, w dole, na górze, pokazywało się mnóstwo, ale Jacuś się ich nie uląkł. Wiedział, że one go tylko nastraszyć chciały i pomrukiwał że to strachy na lachy!

Szedł dalej, ale co to była za ciężka sprawa z tym chodem! To mu kłoda drogę zawałiła, to on przez nią się przewalił. Drapie

się, drapie, a gdy na wierzch wlaź i ma się spuścić, patrzy, a ona się zrobiła taka mała, że ją mógł nogą przestąpić.

Dalej stoi na drodze sosna, w górze jej końca niema, dołem pień jak wieża gruby. Idzie wkoło niego, idzie, aż gdy obszedł, patrzy a to patyk taki cienki, że go na kij wyłamać by można...

Zrozumiał tedy, że to wszystko było zwo-
dnictwo nieczystej siły.

Potem stanęły na drodze gąszcze takie, że ani palca przez nie przecisnąć, ale Jacuś jak się rzucił, pchnął, zamachnął; zdusił je, zmietosił, połamał i przedarł się szczęśliwie...

Idzie, aż moczar i błoto. Obejść ani sposób, spróbował, nogą grzęźnie, że ani dna dostać. Gdzieniegdzie kępiny wyrastają, więc on z kępy na kępę. Co stąpi na którą, to mu się ona z pod stóp wysuwa, ale jak począł biedz, dostał się na drugą stronę błota. Patrzy za siebie, aż kępiny wyglądają gdyby ludzkie głowy z błota i śmieją się... Dalej już, choć kręto i bez drogi, szło mu łatwiej, tylko się tak obłąkał, że gdyby mu przyszło powiedzieć którądy nazad do wsi, jużby nie umiał rozpoznać w której stronie leżała.

Wtem patrzy, przed nim ogromny kwiat

paproci, ale taki jak dąb najstarszy, a na jednym liściu jego u spodu, świeci się gdyby brylant kwiatusek jak przylepiony... Pięc w nim listków złotych, w środku zaś oko śmiejące się, a tak obracające ciągle jak młyńskie koło... Jacusiowi serce uderzyło, rękę wyciągnął, i już miał pochwycić kwiat, gdy nie wiedzieć skąd, jak... kogut zapiał: kwiatek otworzył wielkie oko, błysnął niem i — zgasnął. Śmiechy tylko się dały słyszeć dokoła, ale czy to liście szemrały tak, czy się co śmiało, czy żaby skrzeczały, tego Jacuś rozpoznać nie mógł, bo mu się w głowie zawieruszyło, zaszumiało, nogi jakby kto podciął, i zwałił się na ziemię.

Po tem już nie wiedział co się z nim stało, aż się znalazł w chacie na pościeli, a matka płacząc mówiła mu, że szukając go po lesie, nad ranem pół żywego znalazła.

Jacuś sobie teraz wszystko dobrze przypominał, ale do niczego się nie przyznał. Wstyd mu było. Powiedział sobie tylko, że na tem nie koniec, przyjdzie drugi św. Jan, zobaczymy...

Przez cały rok tylko o tem dumał, ale żeby się z niego ludzie nie naśmiewali, nikomu nic nie mówił. Znowu tedy umył się czysto, koszulę włożył białą, pasik czerwony,

łapcie lipowe nienoszone, — i gdy drudzy do ogniw szli, on w las.

Myślał że znowu mu przyjdzie się przedzierać jak pierwszym razem, aż ten sam las i ta sama droga, zrobiła się zupełnie inną. Wysmukłe sosny i dęby stały porozstawiane szeroko, na gołym polu kamieniami posianem... Od jednego drzewa do drugiego iść było potrzeba, iść, i choć zdawało się tuż blisko, nie mógł dojść, jakby uciekał od niego, a kamienie ogromne, mchem całe porośnięte, śliskie, choć leżały nieruchomo, jakby z ziemi wyrastały. Pośród nich paproci stało różnej, małej, dużej, jak zasiał, ale kwiatu na żadnej. Z początku paproci było po kostki potem do kolan, aż w pas, dalej po szyję i utonął w niej nareszcie, bo go przerosła... Szumiało w niej jak na morzu, a w szumie niby śmiech słychać było, niby jęk i płacze. Na którą nogą stąpił, syczała, którą ręką pochwycił, jakby z niej krew ciekła...

Zdawało mu się, że szedł rok cały, tak długą wydawała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie... nie zawrócił się jednak i nie stracił serca a szedł dalej.

Naostatek... patrzy, świeci zdala ten sam kwiatek, pięć listków złotych dokoła, a w pośrodku oko obraca się jak młyn...

Jacusz podbiegł, rękę wyciągnął, znowu kury zapiały i znikło widzenie.

Ale już teraz nie padł, ani omdlał, tylko siadł na kamieniu. Z początku na łyż mu się zbierało, potem gniew w sercu poczuł i zburzyło się w nim wszystko.

— Do trzech razy sztuka! — zawołał z gniewem... A że zmęczonym się czuł, położył się między kamienie na mchu i zasnął.

Ledwie oczy zmrużył, gdy mu się marzyć poczęło. Patrzy, stoi przed nim kwiatek o listkach pięciu, z oczkiem pośrodku i śmieje się...

— A co? masz już dosyć, mówi do niego, będziesz ty mnie prześladował?

— Com raz powiedział, to się musi stać, mruknął Jacusz, — na tem nie koniec, będę cię miał!

Jeden listek kwiatka przedłużył się jak języzek, i Jacusiowi się wydało jakby mu na przekorę się pokazał, potem znikło wszystko i spał snem twardym do rana. Gdy się obudził, znalazł się w znajomym miejscu na skraju lasu, niedaleko od wioski i sam nie wiedział już czy to co wczoraj było, snem miał zwać czy jawą. Powróciwszy do chaty, zmęczonym się tylko czuł tak, że położyć się

musiał i matuś mówiła mu, że wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Przez cały rok nic nie mówiąc nikomu, myślał ciągle, jakby tego dokazać, żeby kwiat dostać? — Nie mógł jednak nic wydumać, trzeba było spuścić się na szczęście swoje, na dolę, lub niedolę.

Wieczorem znowu koszulę wdział białą, pasik czerwony, łapcie nienoszone, i choć go matka nie puszczała, jak tylko zciemniało, pobiegł do lasu.

Stała się znowu inna rzecz, las był taki jak zawsze pospolitych dni, nic się już w nim nie zmieniło. Ścieżki i drzewa były znajome, żadnego cudowiska nie spotykał, a paproci nigdzie ani na lekarstwo. Ale lżej mu było wiadomemi ścieżkami dostać się daleko, daleko w gąszcze, gdzie pamiętał dobrze, że paprocie rosły... Znalazł je na miejscu i nuż w nich grzebać, ale kwiatu nigdzie ani śladu.

Po jednych łąziły robaki, na drugich spały gąsienice, innych liście były poschłe. Już miał Jacuś z rozpaczy porzucić daremne szukanie, gdy — tuż pod nogami zobaczył kwiatek. Pięć listków miał złotych a w środku oko świecące. Wyciągnął rękę i pochwycił

go. Zapiekło go jak ogniem, ale nie rzucił... trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnać mu poczynął, a taką jasność miał, że Jacuś musiał powieki przymknąć, bo go oślepiała. Weisnął go zaraz za pazuchę, pod lewą ręką na serce... wtem głos się odezwał do niego:

— Wziąłeś mnie — szczęście to twoje, ale pamiętaj o tem, że kto mnie ma, ten wszystko może co chce, tylko z nikim i nigdy swoim szczęściem dzielić mu się nie wolno...

Jacusiowi tak się w głowie z wielkiej radości zaćmiło, że niewiele na ten głos zważał. — A! co mi tam! rzekł w duchu, byle mnie na świecie dobrze było...

Poczuł zaraz, że mu ów kwiat do ciała przylgnął, przyrósł i w serce zapuścił korzonki... Ucieszył się z tego bardzo, bo się nie obawiał, aby uciekł albo mu go odebrano.

Z czapeczką na bakier, podśpiewując, powracał nazad. — Droga przed nim świeciła jak pas srebrny, drzewa się ustępowały, krzaki odchylały, kwiaty które mijał, kłaniały mu się do ziemi. Z głową podniesioną stapał i tylko roił, czego ma żądać. Zachciało

mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i straszego państwa; no i ledwie o tem pomyślał, gdy znalazł się, u skraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nieznanej...

Spojrzawszy sam na siebie, poznać się nie mógł. Ubrany był w suknie z najprzedniejszej sajety, buty miał na nogach ze złotymi podkówkami, pas sadzony, koszulę z najcieńszego śląskiego płótna.

Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomatach pozłocistych, służba w galonach — kamerdyner rękę mu podał, kłaniając się, wsadził do karety i — wio!

Jacuś nie wątpił, że do pałacu go wiozą; jakoż tak się stało. W mgnieniu oka powóz był u ganku, na którym służba liczna czekała...

Tylko ani znajomego nikogo, ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznane, osobliwe, jakby poprzestraszane i pełne trwogi.

Miał za to na co patrzeć, wszedłszy do środka... Strach, co to był za przepych i jaki dostatek — tylko ptasiego mleka brakło.

— No! będę teraz używał! — mówił Jacuś i opatrzywszy kąty wszystkie, naprzód poszedł do łóżka, bo go sen brał, po tej nocy

pracowitej. W puchu jak legł na białźnie cieniuskiej, przykrywszy się kołdrą jedwabną; i gdy usnął, — sam nie wiedział ile godzin tam przeleżał. Obudził się, gdy mu się strasznie jeść zachciało.

Stół był zastawiony, gotowy i taki osobliwy, że co Jacuś pomyślał, to mu się na półmisku sunęło samo. I jak spał bardzo długo, tak teraz, począwszy jeść a popijać, nie przestał, aż dalej już nie było co wymyśleć i smak stracił do jadła.

Szedł potem do ogrodu.

Cały on był zasadzony takimi drzewami, na których kwiatów było pełno razem i owoców: a coraz to nowe odkrywały się widoki. Z jednej strony ogród przypierał do morza, z drugiej do lasu wspaniałego; środkiem płynęła rzeka. Jacuś chodził, usta otwierał, dziwił się, a najbardziej to mu się wydawało niezrozumiałem, że nigdzie swojej znajomej okolicy, ani tego lasu, z którego wyszedł, ani wioski — dopatrzyć się nie mógł. Nie zatęsknił jeszcze za nimi, ale — ot tak jakoś chciało mu się wiedzieć, gdzie się one podziały.

Wokoło otaczał go świat zupełnie mu obcy, inny, piękny, wspaniały, ale nie swój.

Jakoś mu zaczynało być markotno. Na zawołanie jednak, gdy się ludzie zbiegać zaczęli, a kłaniać mu nisko, a co tylko zażądał spełniać i prawić mu takie słodczye, że po nich tylko się było oblizywać — Jacuś o wsi rodzinnej, o chacie i rodzicach zapomniał.

Nazajutrz zaprowadzono go na żądanie do skarbcza, gdzie stosami leżało złoto, srebro, dyamenty i takie różne malowane papiery szczególne, za które można było dostać, co dusza zapagnęła, choć były zrobione z prostych gałganków, jak każdy papier inny.

Pomyślał sobie Jacuś: — miły Boże, gdybym to ja mógł garść jedną albo drugą posłać ojcu i matusi, braciom i siostram, żeby sobie pola przykupili, albo chudoby, — ale wiedział o tem, że jego szczęście takie było, iż mu się z nikim dzielić niem nie godziło, bo zarazby wszystko przepadło.

— Mój miły Boże! — rzekł sobie w duchu, — co ja mam się o kogo troszczyć, albo koniecznie pomagać; czy to oni rozumu i rąk nie mają? Niechaj każdy sobie idzie i szuka kwiatu, a daje radę jak może, aby mnie dobrze było.

I tak żył sobie Jacuś dalej, wymyślając coraz to co nowego na zabawę.

Więc budował coraz nowe pałace, ogród przerabiał, konie siwe mieniał na kasztanowate, a kare na bułane, posprowadzał dziwów z końca świata, stroił się w złoto i drogie kamienie, do stołu mu przywozili przysmaki z za morza, aż w końcu sprzykrzyło się wszystko. Więc po pulpetach jadł surową rzepe, a po jarząbkach, schab wieprzowy i kartofle, a i to się przejadło, bo głodu nigdy nie znał.

Najgorzej z tem było, że nie miał co robić, bo mu nie wypadało ani siekiery wziąć, ani grabi i rydla. Nudzić się zaczynał wściekle, a na to innej rady nie znał, tylko ludzi męczyć, to mu robiło jaką taką rozrywkę, a i ta w końcu się uprzykrzyła...

Upłynął tak rok i drugi, — wszystko miał czego dusza zapagnęła, a szczęście to mu się wydawało czasem tak głupie, że mu życie brzydło.

Najwięcej go teraz gnębiła tęsknica do wioski swojej, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się co się tam z nimi dzieje... Matkę kochał bardzo, a jak ją wspomniał, serce mu się ścisnęło.

Jednego dnia zebrało mu się na odwagę wielką — i siadłszy do powozu pomyślał,

aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców. Natychmiast konie ruszyły, leciały jak wiatr i nie opatrzył się, gdy zatrzymały się przed znanem mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi łzy się z oczu puściły.

Wszystko to było takie, jak porzucił przed kilku latami, ale postarzałe, a po tych wspałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędzniejsem wydawało.

Żłób stary przy studni, pieniek na którym drewka rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porosły mchami, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Z chaty wychyliła się stara przygarbiona niewiasta w zasmolonej koszuli z obawą poglądając na powóz który się przed chatą zatrzymał.

Jacusz wysiadł; pierwszy spotykający go w podwórku był stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z sierścią najeżoną. Szczekał na niego zajadle, przysiadując na tyle i ani myślał poznać.

Jacusz postąpił ku chacie, w progu jej wsparta o uszak drzwi stała matka, wlepiając w niego oczy, ale i ta nie zdawała się w nim swojego rodzzonego domyślać.

Jacusiowi serce biło wzruszeniem wielkiem.

— Matusz, — zawołał, — ta toć ja, wasz Jacek!

Na głos ten drgnęła staruszka, oczy zaczerwienione od dymu i płaczu skierowała ku niemu i stała oniemiała. Potrząsnęła potem głową.

— Jacusz! wolne żarty, jasnie panie! Tamtego już na świecie niema. Gdyby żył, toćby przecie przez lat tyle do biednych rodziców się zgłosił, a gdyby jak wy we wszystko opływał, z głodu nie dałby im umrzeć.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się szydersko.

— Gdzietam! gdzietam! — rzekła. — Jacusz mój miał serce pocziwe i nie chciałby nawet szczęścia, z którymby się nie mógł podzielić ze swoimi.

Zasromał się mocno Jacusz, oczy spuścił... Kieszenie miał pełnuteńkie złota — ale co ręką sięgnął, ażeby garść jego rzucić w fartuch matce, to strach go brał wszystko razem utracić.

I stał tak, stał upokorzony, zawstydzony, a starucha na niego spoglądała...

Poza nią zbierało się rodzeństwo, pokazała się głowa ojca... Jacusiowi serce miękło, ale jak spojrzał na swój powóz, konie, ludzi, a pomyślał o pałacu, znowu twardniało

i czuł, że kwiat paproci leżał na niem, jak pancerz żelazny...

Odwrócił się od starej matki nie mówiąc słowa; nie patrząc wolnym krokiem poszedł, słysząc tylko za sobą wściekle ujadającego Burka... Siadł do powozu i kazał jechać na powrót do raju.

Ale co się w nim i z nim działo, pióro nie opisze. Słowa starej matki, że niema szczęścia dla człowieka jeżeli się niem dzielić nie może, brzmiały mu w uszach jak przekleństwo.

Powróciwszy do pałacu, kazał kapeli grać, panom swoim tańcować, zastawić stoły — upił się nawet trochę, kilku ludzi kazał oćwiczć, ale to wszystko nie pomogło, pozostał bardzo markotnym...

Przez cały rok, choć, jak zwykle we wszystko opływał, w gębie mu czegoś było gorzko, a w sercu jakby kamień dźwigał...

Nie mógł w końcu wytrzymać, po roku znowu pojechał do wsi swojej i chaty...

Spojrzał, wszystko jak było, żłób, pieńiek, dach, drabina, wrota i Burek z sierścią najeżoną — ale stara matka nie wyszła. W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego Maciek...

— A matuś gdzie? — zapytał przybyły,

— Chorzy leżą — rzekł malec wzdychając.

— A tatuś?

— Na mogiłkach...

Choć Burek mało go za pięty nie chwytiał, wszedł Jacuś do chaty. Stara matka stękając, leżała w kątku na łóżeczku. Podeszedł do niej Jacuś... popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej było trudno, a on o nic pytać się nie śmiał.

Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem sypnąć na ławę — ale dłoń mu się ścisnęła, strach go paskudny ogarnął, że własne szczęście utraci.

Niegodziwy Jacuś począł mędrkować.

— Starej już się niewiele na świecie należy, a jam młody. Ona się długo męczyć nie będzie... a przedemną... życie, świat, panowanie.

I wyrwał się z chaty do powozu a z nim do pałacu; ale przybywszy tu, zamknął się i płakał.

Pod żelaznym pancerzem na piersiach, który włożył na nie kwiat paproci, związane i skrepowane budziło się sumienie... i gryzło mu wewnątrz serce.

Więc kazał kapeli grać, a dwornym skakać i pieć zaczął, aby je zagłuszyć.

Chwilami zdawało się, że go już nie sły-
chać, a potem — jak wrzasło, Jacuś o mało
nie oszalał. Ale nazajutrz i dni następnych
ani na moment nie spoczywając, durzył się
ciągle czemś, latał, jeździł, strzelał, słuchał
wrzasków różnych, jadł, pił... hulał... Nic
nie pomagało...

W uszach ponad wszystkie wrzaski
brzmiało:

„Niema szczęścia dla człowieka, jeżeli się
niem z drugimi podzielić nie może”!

Rok nie upłynął, aż Jacuś wysechł jak
szczypa, wyżółkł, jak воск — i w tem swo-
jem dostatku i szczęściu męczył się nie do
zniesienia. W końcu po jednej nocy bezsen-
nej, nakładłszy złota w kieszenie, kazał się
wieść do chaty.

Miał to postanowienie, choćby wszystko
stracił, a matkę i rodzeństwo poratować.

— Niech się już dzieje co chce! — mó-
wił — niech ginę, dłużej z tym robakiem
w piersi żyć nie mogę.

Stały konie przed chatą.

Wszystko tu było jak przedtem: żłób
stary u studni, pień, dach, drabina — ale
w progu chaty żywej duszy nie było...

Jacuś pobiegł do drzwi — stały kolkiem

podparte; — zajrzał przez okno, chata była
pusta...

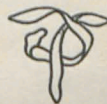
Wtem żebrak, stojący u płota, wołać nań
zaczął:

— A czego tam szukacie, jasny panie...
Chata pusta, wszystko w niej wymarło z bie-
dy, z głodu i choroby...

Jakby skamieniały, stał ów szczęśliwiec
u progu — stał i stał...

— Z mojej winy zginęli oni, — rzekł
w duchu, — niechże i ja ginę!

Ledwie to rzekł, gdy ziemia się otwo-
rzyła i zniknął, — a z nim ów nieszczęsny
kwiat paproci, którego dziś już próżno szu-
kać po świecie.



Muzeum
JIK
ROMANOWIE
XV 2204

SPIS BAJECZEK.

	str.
Bajeczka wstępna (zamiast przedmowy) . .	5
I. Boże dary	11
II. Garbucha	21
III. Głupi Maciuś	35
IV. Mitrega	53
V. Z chłopą król	69
VI. Kwiat paproci	103

